Nr. 34 (1130). Warszawa, dnia 10 (23) Sierpnia 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

W BRETANII.

Można było przewidzieć, że departamenta, składające dawniejszą Bretanię, wykonaniu prawa z d. 1 lipca 1901 r. o stowarzyszeniach, stawią opór nawet czynny. Ludność jest tam i najbardziej katolicką i najżywiej jeszcze tradycyami monarchicznemi przejętą. W r. 1793 na śmierć króla odpowiedziała powstaniem; nie zaprzysiężonych księży, podburzających emigrantów było w niej najwięcej. W Bretanii lud i tak zwane klasy wyższe posiadają pewną jeszcze historyczną, poprzed noc z d. 4 sierpnia i prawa grudniowe 1789 r. sięgającą indywidualność; nawet bez organizacyi oporu, jako istota czująca, a nie jako narzędzie polityki, ująłby się naród bretoński za swojem duchowieństwem wypędzanem, zwłaszcza żeńskiem, które dobrowolnie ustępować nie chciało; ująć się musiał, gdy go zorganizować usiłowano, gdy na jego czele stanęły margrabiny, hrabiny, nawet admirałowie, równie szczerze jak lud odczuwający nowe prawo republikańskie jako ograniczenie wolności i krzywdę. Nie można tych podniet czynnych w Bretanii nie uszanować, nie oddzielić od czysto-politycznych już robót nacyonalizmu, który jawnie przeciwko rzeczypospolitej spiskuje i szczere uczucie, rzetelnie obrażoną wrażliwość katolicko-monarchiczną zastępuje — sztucznie szerzonym buntem przeciwko ogólnie narodowej formie politycznego istnienia Francyi.

Na ogół biorąc, jeżeli pod popiołami nie tleje pożar gorszy od zupełnie już prawie stłumionego, opór Bretanii nie okazał się tak groźnym, tak wyzywającym, jak po pierwszych ruchach, a zwłaszcza pierwszych zapowiedziach, obawiać się było można. Urządzono wprawdzie w Landerneau, gdzie było główne ognisko, coś w rodzaju warowni, tamującej dostęp do miejsc dla ludu świętych; zgromadziły się tysiące manifestantów religijnych; śpiewano pieśni, obnoszono chorągwie; księża stawali na czele modlących się tłumów; gdy po odmowie nadciągało wojsko, przyjmowano je obelgami, kamieniami, błotem, nawet palącymi się pękami słomy; poturbowano kilkunastu komisarzy policyjnych, kobiety — najstraszniejszy z elementów świata — wywracały ich i tłukły; wojsko musiało wybijać mury, aby się dostawać do wnętrz klasztornych, gdzie utrzymywano szkoły na zamknięcie skazane: ale tego wszystkiego nie starczyło na ruch powstańczy, na coś, coby już można było nazwać rozlewem krwi, bodaj rzezią; nie było ani zwycięzców depcących prawa ludzkości, ani męczenników za ludzkość ginących. Zdaje się, że jedna nawet kropla zacnej krwi bretońskiej nie popłynęła od strzałów brutalnej siły republikańskiej. Była gorączka, ale z przebiegiem łagodnym. Wojny domowej nie będzie.

Rząd może takiego rozwiązania tezy, która wróżyła mu nieszczęście, powinszować i sobie i Francyi. Cierpliwość i powściągliwość w zażywaniu fizycznej przemocy przeciwko fizycznemu oporowi jego jest zasługą; sporadyczność i łagodność oporu — znamiennie odpowiadają osłabłym już tętnom społeczności religijno-wyznaniowej dzisiejszych Francuzów. Ani jedna, ani druga strona nie oddała się w moc bezwzględności. Rząd wierzył w swą siłę, obóz przeciwny — nie. Przywiązanie w tłumach nie było tak silne, żeby ich przywódcom mogło odjąć dar trzeźwego rozsądku. Najlepszą miarą tej trzeźwości jest uchylenie się nacyonalistów paryskich od bezpośredniego wystąpienia na widowni bretońskiej; nie było ich w Bretanii, bo w nich samych nie było wiary w powodzenie buntowniczych robót. Gdyby byli spostrzegli, że rząd nietylko rządzi się zasadą *suaviter in modo*, ale zupełnie już zmienia kierunek drogi, skorzystaliby z tego skwapliwie i poprowadzili kolumny do ataku na ustępujących; rządowe *fortiter in re* odjęło im odwagę. Może to służyć, jeśli nie za dowód, to za wskazówkę, że w nacyonalizmie francuskim więcej jest krzyku, niż siły; najlepiej rośnie na bruku paryskim.

Dla rządu najważniejszą niewiadomą było zachowanie się urzędników państwowych i gminnych, oficerów i żołnierzy. Rozwiązanie wydało wartość niewielką. Kilkunastu, może dwudziestu merów, trzymających z ludem; kilku oficerów, którym ich przekonania religijno-wyznaniowe nie pozwoliły dochować obowiązku karności; kilkudziesięciu radców departamentowych, pragnących odroczenia środków prawnych; jakiś admirał (Cuvervile) należący do zmowy przeciw rządowi, a dopominający się oddania dekretów rozwiązujących do probierni rady stanu, aby orzekła o ich prawności — to niemal wszystko, w czem się wyraziła niekarność, objawiło nieposłuszeństwo. Tu znowu znamienną jest postawa reszty kraju wobec oporu Bretanii. Francuz-katolik nie chciał być aktorem; poprzestał na roli cicho współczującego widza. Interesa, których mu bronić nakazywano, nie przemówiły do niego tak, żeby go poruszyć zdołały. Jednym z dodatnich wyników przebywanej gorączki będzie przeświadczenie, że hasło katolickie nie wywoła już wojny domowej. Nie zerwie się też i burza z wichru wiejącego od Waty-

kanu: i tam już huragany utraciły swą siłę. Złożono je wraz z grzmotami i piorunami do arsenału pamiątkowego. Dziś *Tolerari passe* panuje wszechwładnie — w dobrem zrozumieniu tego, co możliwe, i tego, co konieczne. Dla Francyi samej ta walka z klasztorami jest walką rzeczypospolitej o życie, jest i walką dwóch światów o lud francuski — i nie ustanie też z zamknięciem szkół klasztornych.

Sejmy krajowe w Austryi.

Wiedeń w sierpniu.

Sześć tygodni trwała sesya kilkunastu sejmów prowincyonalnych, istniejących w Przedlitawii. Zgromadzenia te właściwie, w zasadzie, nie mają znaczenia politycznego, nie są w całem tego słowa znaczeniu prawodawczemi, bo nie tworzą zwierzchności państwowej. Zakres ich kompetencyi obejmuje bezwątpienia sprawy bardzo ważne, mianowicie ekonomiczne i kulturalne, w tej liczbie organizacyę szkół średnich i elementarnych, ale jest im udzielony i przekazany przez władzę państwową, centralną, stwarzającą i w tych dziedzinach ramy, których sejmy krajowe przekroczyć nie mogą. Kompetencya sejmów tych w Austryi jest też znacznie mniejsza, niż sejmów poszczególnych państw związkowych w Niemczech, które — przeciwnie— przekazują pewne sprawy wspólne parlamentowi centralnemu, i niewiele większa od kompetencyi rad departamentalnych we Francyi. Jeżeli jednak pomimo to sesya sejmów krajowych ma zawsze znaczenie polityczne i zwraca na siebie o wiele większą uwagę, niż np. posiedzenia owych rad francuskich, to głównie ze względu na historyczną rolę tych zgromadzeń. Z ich delegacyj aż do r. 1873 składał się parlament centralny; one były pierwszem polem walki uciskanych narodowości o swe prawa, i dziś jeszcze dla narodowości właśnie posiadają ważne znaczenie. Silne stronnictwa narodowościowe, przedewszystkiem Czesi, do dziś dnia — w teoryi przynajmniej — zaprzeczają parlamentowi centralnemu przywłaszczonej sobie kompetencyi i chciałyby przenieść do sejmu środek ciężkości wszelkiego prawodawstwa; dążenia te mają bardzo często charakter albo czysto platoniczny, albo wsteczny, ponieważ znajdują się w sprzeczności z potrzebą jednolitego regulowania spraw administracyjnych i prawnych w granicach jednego i tego samego państwa, wynikającą z samego rozwoju przemysłowego. Dopóki istnieje Austrya, jako jedno państwo, parlament centralny musi zachować przewagę nad sejmami — jak ją też siłą rzeczy zdobył z biegiem czasu. Lecz pomijając nawet owe dążenia do rozszerzenia autonomii prowincyonalnej, sejmy ze względu właśnie na swą kompetencyę w zakresie spraw kulturalnych oraz możność pośredniego oddziaływania i na różne inne strony życia, mają pierwszorzędne znaczenie dla każdej narodowości. Że zaś na 17 prowincyj Przedlitawii jest tylko trzy: Salzburg (Solnogród), Vorarlberg (Przedarulania) i Austrya Górna *), zamieszkane przez ludność pod względem narodowościowym jednolitą, więc we wszystkich innych sejmach zawsze jedna narodowość jest panującą, zawsze ściera się większość z mniejszością mniej lub więcej uciskaną.

Oddawna też wszędzie stoi na porządku dziennym sprawa zaradzenia tym stosunkom nierówności, uprzywilejowania, a często i prawdziwego ucisku. Stronnictwo radykalnej reformy społecznej proponuje dla rozstrzygnięcia tej kwestyi zniesienie granic starych prowincyj, które opierają się prawie wyłącznie na tradycyach historyczno-dynastycznych, a utworzenia natomiast autonomicznych (w pewnym zakresie) terytoryów, o ile możności jak najbardziej jednolitych pod względem narodowościowym. W niektórych prowincyach pierwszym krokiem do tego stanu rzeczy byłby ich podział na dwie połowy podług granicy narodowościowej, którego się też domagają tam mniejszości narodowościowe, niemające nic wspólnego z radykalizmem społecznym. Najostrzejszą była ta sprawa w Tyrolu, którego cała część południowa, t. zw. Trentino ze stolicą Trydentem, jest włoska. Mniejszość włoska w sejmie insbruckim oddawna domagała się podziału Tyrolu, szerokiej autonomii dla Trentina, a nie mogąc zyskać zgody od większości niemieckiej, za pomocą obstrukcyi uniemożliwiało systematycznie całą czynność sejmu. Przez długi czas wszystkie gabinety wiedeńskie stanowczo się też opierały żądaniu Trydentyńczyków w obawie, że autonomiczny Tyrol włoski będzie ciążył ku Włochom i w razie nieszczęśliwej wojny wpadnie w ich ręce, jako dojrzałe jabłko. W końcu jednak dr. Körber, zdawało się, doszedł do wniosku, że właśnie w interesie państwa lepiej będzie zaspokoić choć do pewnego stopnia żądania Włochów, i mianowanemu przezeń nowemu namiestnikowi udało się wreszcie drogą układów pozyskać zgodę przywódców obu narodów na bardzo ciekawy projekt. Ponieważ monarchia habsburska składa się właściwie z szeregu krajów, należących do dynastyi na zasadzie najrozmaitszych tytułów historycznych krajów, które dotychczas nie mają istotnego prawno - państwowego łącznika, czy też wspólnego mianownika (bo nazwa „Austrya" istnieje tylko w łącznej nazwie „Austro-Węgry," a więc tylko w stosunku na zewnątrz, „Przedlitawia" jest nazwą czysto geograficzną, a konstytucya używa stale omówienia: „królestwo i kraje reprezentowane w radzie państwa"), więc rząd nie zgodził się na całkowity podział kraju, jako naruszający historyczne podstawy monarchii, i dla tej samej przyczyny obstawał przy zachowaniu wspólnego sejmu w Insbruku, jako symbolu jedności „książęcego hrabstwa Tyrolu." Natomiast zgodzono się na podział wydziału krajowego i rady szkolnej krajowej na dwie sekcye: niemiecką (liczniejszą) i włoską, wybierane przez odpowiednie części sejmu. Sekcye włoskie zasiadać miały w Trydencie i rządzić sprawami Trentina z własnym budżetem, zupełnie niezależnie od niemieckich— i nawzajem. Zgodę Włochów na ten plan, nieurzeczywistniający w całości ich starego programu autonomii, rząd poprostu kupił — obiecując wziąć na koszt budżetu ogólno-państwowego 325.000 koron rocz-

*) W Austryi Dolnej (z Wiednlem) mieszka do 400,000 Czechów.

Adolf Cambanaire.

Orangutangi.*)

Około godziny czwartej wieczorem, podczas kiedy moi ludzie zajęci byli budową mostu, mającego nas przeprowadzić na drugą stronę rzeczki, w powietrzu rozległy się ostre krzyki w połączeniu z nawoływaniem gardłowem, kłócących się małp.

— Orangutangi!— rzekł Sutu. I objaśnił mi w dalszym ciągu, że prawdopodobnie gromada tych wielkich małp usadowiła się gdzieś w pobliżu.

Nie mogłem nie skorzystać z tak dobrej sposobności przyjrzenia się tym ciekawym stworzeniom w ich otoczeniu ojczystem, a ponieważ wiedziałem, że obawiać się ich niema potrzeby, kazałem rozbić obóz na miejscu, gdzieśmy stali i, nie tracąc czasu, udałem się wraz z Sutu w stronę, skąd dochodziły nas krzyki.

Mój towarzysz opowiadał mi po drodze, jak bardzo liczną jest ta gromada, i że to stare orangutangi w ten sposób zwołują przed nocą zapóźnionych do gniazd, które budują jak domy.

Choć przesuwaliśmy się cicho, jak węże wśród gęstwiny drzew i pnączy, zostaliśmy jednak zauważeni. Gałęzie ponad nami zaczęły trzeszczeć i uginać się. A Sutu, wskazując wielkie drzewo, rzekł półgłosem:

— Patrzcie, panie, jedno gniazdo, dwa, trzy! Jest ich tu kilka rodzin.

Nadaremnie wytrzeszczałem oczy, widziałem tylko splątaną, zbitą masę zieleni; zmieniłem więc miejsce, i na skrzyżowaniu dwóch grubych konarów ujrzałem ogromnego orangutanga, przyglądającego się nam spokojnie, gdy tymczasem ruch w gąszczu drzew, ponad naszemi głowami i szelest ciał, opadających ciężko, potwierdzały przypuszczenie co do obecności znacznej liczebnie gromady. Na chwilę zapragnąłem strzelić do tego, który nam się przyglądał, lecz na chwilę tylko; w gruncie rzeczy byłoby to zabójstwo bezużyteczne, żadną nie wywołane potrzebą; z zaciekawieniem więc tylko przypatrywałem się, wzniesionemu na wysokości dziesięciu metrów schronisku, którego budowę rozróżnić mogłem doskonale.

O wdrapaniu się na drzewo nie śmiałem nawet marzyć, tylko dla Sutu mogło to być igraszą, lecz i on, zanim się wziął do rzeczy, zażądał, ażebym strzelił dla wystraszenia małpy, drapiącej się wtedy właśnie pod pachą. Dałem strzał, mierząc w pień drzewa, tuż ponad jej głową. Orangutang wydał dźwięk gardłowy, podobny do zduszonego ryku wielkiego drapieżcy i najspokojniej w świecie, obejmując pień olbrzymiemi ramionami i nieco krótszemi nogami, zaczął się wdzierać na wierzchołek drzewa, i wkrótce znikł nam z oczu. Po kilku minutach, z coraz bardziej oddalających się nawoływań, poznaliśmy, że cała gromada ustąpiła nam miejsca.

Teraz więc Sutu począł wspinać się na drzewo, a ja, przypatrując się gniazdu z dołu, zalecałem mu, ażeby dobrze obejrzał, jak jest zbudowane i zrzucił na ziemię wszystko, co w niem znajdzie ciekawego. Po chwili owoce zaczęły spadać z góry, a wkrótce potem i sam Sutu, spełniwszy moje polecenie, zsunął się na ziemię.

Orangutang wraz z gorylem należy do największego gatunku małp istniejących. W Sarawak *) i w Borneo środkowem krajowcy nazywają go *mias*; w okolicach, położonych nad dolnym biegiem rzeki Kapoas, znany już jest pod właściwem mianem *orangutanga*, tj. *człowieka leśnego*. Samiec bywa zwykle wyższy, niż samica, i dorasta czasem do postawy człowieka wzrostu średniego. W wieku młodzieńczym po obu stronach głowy wystają mu naroście mięsne w kształcie wachlarza, które twarz jego poszerzają niezmiernie. Skóra jego ma zabarwienie rude i pokryta jest

*) Jest to ustęp z podróży po wyspie Borneo pod tytułem „Au pays des coupeurs de têtes," w którą autor wybrał się w celach przemysłowych a doświadczył wrażeń silnych i widział dużo rzeczy niezwykłych.

*) Na pobrzeżu zachodniem wyspy, zaludnionem głównie przez dzikich Dayaków, którzy zamieszkują w lasach.

nie, któreby przypadły na Trentino z powiększenia pensyj nauczycieli ludowych: rzecz charakterystyczna dla Austryi, dla sposobu traktowania sporów narodowych przez stronnictwa i przez rząd! Dość, że zdawało się, iż projekt będzie wreszcie uchwalony przez sejm, jeśli nie jednomyślnie, to przynajmniej znaczną większością, pomimo niechęci kilku skrajnych klerykałów i oburzenia „wszechniemców,“ którzy wprawdzie domagają się podziału Czech, gdzie Niemcy są w mniejszości, ale podział Tyrolu, gdzie są w większości, uważają za zbrodnię przeciw całości i bezpieczeństwu—tak przez nich umiłowanej — monarchii czarno-żółtej! Sprawa miała znaczenie ogólne, gdyż urządzenie takie, wypróbowane przez lat kilka, mogłoby się było stać z kolei wzorem i dla innych prowincyj o ludności mieszanej, a przynajmniej dla tych, w których narodowości są dość ściśle pod względem terytoryalnym rozdzielone—że wymienimy tylko najważniejsze: Czechy właśnie i — Galicyę.

W ostatniej chwili jednak wszystko się rozbiło, a to z przyczyny następującej: Kilka wysp niemieckich, zawartych w części włoskiej kraju, zgodzono się oddać pod kompetencyę sekcyi niemieckiej rady szkolnej, a pod względem administracyjnym — wspólnego wydziału krajowego, złożonego z obu sekcyj, w którym zatem Niemcy mieliby większość. Już to wywołało niezadowolenie radykalniejszych żywiołów włoskich. Prócz tego jednak taki sam *modus vivendi* wymyślono dla doliny Fassy, położonej na granicy terytoryum niemieckiego i włoskiego, a zaludnionej przez plemię górskie Ladynów, mówiących własnym dyalektem, lecz ze względów zarobkowych chętnie uczących się po niemiecku. Tych Włosi uważają koniecznie za swoich i chcą zwłoszczyć. Niemcy zaś — zniemczyć, i w tym celu ci ostatni postawili za warunek konieczny udzielenie subwencyi rządowej w celu budowy kolei z Insbruku do doliny Fassy, na co znów Włosi przystać nie chcieli, żądając sami połączenia kraju Ladynów koleją z Trydentem. Koniec końców projekt ugody przepadł, a Włosi powrócili do obstrukcyi, wskutek czego sejm został natychmiast zamknięty, nie załatwiwszy nawet budżetu.

Nawiasem mówiąc, wyniknie stąd ciekawy proces administracyjno-konstytucyjny. Wypadki sparaliżowania sejmów krajowych przez obstrukcyę miejscową są mianowicie w Austryi bardzo częste: otóż wtedy, w braku uchwalonego budżetu, podatki krajowe bywają pobierane na mocy rozporządzenia rządowego, przez analogię, z § 14 dla spraw ogólno-państwowych. Ale jest to tylko analogia, dowolnie przyjęta; w ustawach o autonomii krajów nic podobnego niema. Dotychczas jednak nikomu nie przyszło do głowy protestować przeciw tak oczywistemu naruszaniu konstytucyi. Dopiero teraz miasta włoskie Trydent i Rovereto postanowiły nie płacić podatków krajowych, nie uchwalonych przez sejm. Sprawa będzie się musiała oprzeć o najwyższy trybunał administracyjny, który jednak — możemy być spokojni — znajdzie już z pewnością sposób na to, aby racyę przyznać rządowi.

(D. n.).

Z. Z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz Wilhelm miał dnia 15 b. m. mowę w Dusseldorfie na wystawie sztuk plastycznych. Zapewnił w niej, że utrzyma pokój.

W gorszącej sprawie rządu pruskiego z Loehningiem, dyrektorem ceł w Poznaniu, dziennikarstwo hakatystyczne mąci ustawicznie prawdę, aby go przedstawić jako spolaczałego Niemca i zmysłowo rozbestwionego człowieka. Prawdą jest junkrowskie potępienie mezaliansu, który zawiera Loehning z córką podobno niegdyś portyera, a nawet feldfebla — co sprawdzone jeszcze być powinno — i ultrapruskie zawzięcie się na wyższego urzędnika, który, będąc patryotą niemieckim, hakatystą być nie chciał. Rządem pruskim w Poznańskiem jest H. K. T.; niebezpieczna to delegacya władzy. Na rewię w Poznaniu cesarz zjedzie z wielką paradą; cesarzowej tylko noga zwichnięta może przybyć nie pozwoli. Miejscowi Niemcy urządzają wielką uroczystość. Mają być i goście z zagranicy. Czy przyjedzie arcyksiążę Franciszek Ferdynand — jeszcze jest wątpliwe. Sama wątpliwość niedobrze świadczy o tęgości wewnątrz a układności na zewnątrz w rządzie austryackim. Wszyscy oczekują mowy cesarza; będzie ona sama przez się wypadkiem. Podawane przez dzienniki zdziwienie cesarskie, jak mógł Bitter dopuścić do takiego zaognienia stosunków w Poznańskiem — okazało się podrobionem. Prześladowanie opinij przeciwnych hakacie objawiło się świeżo zakazaniem nawet *Kraju* w granicach państwa pruskiego. Zakazano osiem pism polskich. Szykany pocztowe, niegodne wielkiego państwa, nabierają już teraz charakteru sztuczek żakowskich.

W Niemczech prócz Loehninga robi dużo wrzawy telegram cesarza do ks. Luitpolda bawarskiego. Izba bawarska odmówiła była regentowi kredytu na jakiś wydatek artystyczny. Cesarz, sam artysta, głęboko odczuł krzywdę i oburzenie swoje wyraził w telegramie z d. 10 b. m. Ogłoszenie tego telegramu wbrew woli Luitpolda, a więc z woli cesarza, wywołało niechęć w Bawaryi. Ks. regent znalazł się między młotem a kowadłem, tem bardziej, że cesarz, artysta, ale przytem i milioner, ofiarował księciu się z pożyczką, a do współzawodnictwa z nim stanął jeden z magnatów bawarskich i pieniądze w gotówce złożył: oczywiście, jego ofiarę przyjęto. Ostentacyjne ogłoszenie telegramu było krokiem niepolitycznym.

W Londynie odbywały się teraz narady z ministrami kolonialnymi. Postanowiono pociągnąć kolonie do nakładów na utrzymanie floty, w bardzo skromnej mierze, i zniżyć cła od towarów angielskich. Sejmy kolonialne muszą układ zatwierdzić i zobowiązania wyraźnie określić. Na własną flotę Anglia koloniom nie pozwala. Pozwoli.

W Villefranche w mowie nad poległymi w r. 1870 minister wojny, Andre, powiedział: „Żołnierze, którym wznosimy ten pomnik, przedstawiają typ żołnierza przyszłości, który powrócić ma Francyi jej materyalną wielkość... Będzie on mścicielem Francyi; na jego cześć obchodzimy dzisiejszą uroczystość.“

W d. 17 b. m. król angielski dał posłuchanie Delareyowi, Bothcie i De Wettowi. Rozmawiano uprzejmie, ale nie o polityce. Pod świeżem wrażeniem napomnienia danego Meyerowi trzej wodzowie nie przyjęli zaproszenia na wielką paradę morską w Spithead, dniem wprzódy. Dzienniki angielskie niepokoją się karabinami boerskimi, których jakoby 25,000 ma spoczywać w bezpiecznej kryjówce.

D. 16 b. m. zwrócono Tien-tsin Chinom.

---

włosem także rudym, lecz rzadkim, a na grzbiecie brudno-szarym; nos zaledwie zaznaczony, szczęki wystające i zaopatrzone w trzydzieści dwa silnie osadzone zęby z bardzo wystającymi kłami; oczy otacza zarost daleko jaśniejszy, niż reszta włosów na ciele; źrenica jest ciemno-brunatna, rogówka biała, poprzecinana brunatnemi nitkami. W niewoli oczy ich stają się smutne i badawcze. Kończyny górne mają tak długie, jak dolne, lecz cała siła ześrodkowywa się w pierwszych, gdyż w spoczynku orangutang siedzi zawsze w kuczki. Ręce, bardzo wydłużone, na stronie wewnętrznej pozbawione włosów, mają ujęcie niezmiernie silne. Z drzewa orangutang nie schodzi nigdy, chyba żeby się napić wody, i z jednego na drugie, z gałęzi na gałąź przerzuca się za pomocą rąk. Wskutek częstego siedzenia miednica jego jest słabą i dlatego stać może prosto, tylko o coś oparty. Na wolności, chodzi po ziemi bardzo niezgrabnie, nawet podpierając się kijem.

Żyjąc w lesie, żywi się owocami, gąsienicami, poczwarkami owadów, pająkami i jajami ptasiemi; i tylko wtedy, gdy mu zabraknie tego pożywienia, zabiera się do pączków bambusowych. Żyje gromadami, w licznych rodzinach, a stare pilnują porządku i karcą młode, zbyt burzliwe lub do bicia się skore.

Niegdyś w Sarawak, nad wodami rzeki Sadong, orangutangi gnieździły się bardzo licznie, lecz myśliwcy amerykańscy tak je przetrzebili w celu zaopatrzenia swoich muzeów, że dziś bez pozwolenia specyalnego zabijać ich nie wolno.

Nie brak ich także w posiadłościach holenderskich, na zboczu górskiem grzbietów, oddzielających dolinę rzeki Lupar od doliny Kopoasu. Z początkiem czerwca, kiedy deszcze w ciągu trzech następujących miesięcy padają rzadziej, nie schodząc z drzew, opuszczają okolice górskie i wkraczają do lasów, gdzie owoce dojrzewają wcześniej, niż na zboczach. Nadewszystko lubią owoce drzewa *durio*, które tu w lasach rośnie dziko. Są one wielkie, ważą niekiedy przeszło dwa funty, otacza je gruba łupina, najeżona kolcami. Wewnątrz, w czterech przegrodach znajdują się ziarna, stanowiące owoc właściwy. Dojrzałe wydają zapach specyficzny i otoczone są masą śmietankową, w smaku przypominającą ser Roquefort.

Orangutangi nie ustąpią z miejscowości, gdzie są duriony, aż do zniknięcia ostatniego owocu.

Te wielkie małpy podróżują zawsze w gromadach, złożonych z kilku rodzin.

Jak tylko nadchodzi, instynktownie przez nie przeczuwana pora wymarszu, puszczają się w drogę z drzewa na drzewo; matki niosą małe. Dayakowie zapewniają, że ta podróż odbywa się bardzo powoli, gdyż orangutangi — w przeciwieństwie do innych zwierząt lasów dziewiczych — śpią w nocy. Natrafiwszy na miejscowość obfitującą w owoce, małpy osiadają na czas dłuższy i budują gniazda, w których znajdują zabezpieczenie od deszczu.

Gniazda te umieszczone są zawsze na skrzyżowaniu kilku gałęzi, lub oparte o pień ponad gałązkami, które stanowią punkt podpory dla wyścielających je poprzecznie. Ponad taką podłogą, na wysokości zależnej od punktu podparcia, orangutangi układają inne gałązki, jako dach liściasty. Czasami na tem się kończy, lecz nierzadko dorabiają jeszcze trzy boki, czwarty, jako wejście, zostawiając otworem.

Tak zbudowane schronisko jest najzupełniejszym szałasem, chatką tymczasową, w której te inteligentne stworzenia gromadzą swoje rodziny i, zabezpieczone od deszczu, śpią w nocy, wyciągnięte, jak ludzie. Są to mieszkania bardzo trwałe. Miałem sposobność oglądać je jeszcze w okolicach bezludnych, w których małpy, nie widując Dyaków, osiedlały się z ufnością. Jeśli, podróżując, przybędą na jakieś miejsce, gdzie nie zamierzają pozostać, wówczas gniazd nie budują, lecz wybierają do spania drzewa, jak można najgęstsze, aby zabezpieczyć się od deszczu, gdyż skórę, z powodu rzadkiego uwłosienia, mają nadzwyczaj wrażliwą na zmiany temperatury. Często zapadają na zapalenie płuc i wskutek tego nie dożywają starości. Dayakowie nie podają więcej, jak cztery do pięciu lat, jako najdłuższy okres życia tych ciekawych stworzeń.

. . . .

(D. n.).

Na San-Domingo rewolucya w stylu romańsko-amerykańskim. Gen. Nord walczy z Firminem o prezydenturę, nagi i bosy żołnierz rabuje, obie strony, jeśli nie uciekają, to mordują. Cudzoziemcy opuszczają wyspę.

W Wenezueli i Kolumbii jeszcze upiór władzy prezydyalnej pastwi się nad ludzkością. Tutaj Niemcy mieli ochotę odegrać wielką rolę, ale zdaje się, że Amerykanie wywołali już w nich zbawienny namysł. Interwencya Stanów Zjednoczonych jest prawdopodobną.

Na Korei, która weszła do związku z Anglią i Japonią, wybuchły rozruchy przeciwko Japończykom i wogóle cudzoziemcom. W Szanghaju ułożono już taryfę celną — bez udziału Rosyi. Komisarze chińscy jeszcze układu nie podpisali.

Na kongresie macedońskim w Sofii kłócą się Sarafowczycy z Tonczewczykami.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Uchwalenie nowego funduszu na cele kolonizacyi wschodnich dzielnic Prus wywołało szereg publikacyj niemieckich, poświęconych dotychczasowej działalności komisyi kolonizacyjnej i planom jej zreformowania. Jedną z najciekawszych prac w tym kierunku jest niewątpliwie broszura dr. Stumpfego, świeżo wydana w Berlinie p. t. „Polenfrage und Ansiedelungskommission.“

Dr. Stumpfe, zaciekły wróg Polaków, poddaje całą działalność komisyi kolonizacyjnej bardzo ostrej krytyce, nie szczędząc polityce germanizacyjnej, jeśli ma być prowadzona na modłę dotychczasową, bardzo smutnych horoskopów. Według obliczeń dr. Stumpfego, opartych na cyfrach ze źródeł urzędowych, osadzenie jednej rodziny niemieckiej w dzielnicach polskich kosztuje rząd od 3,240 do 10,869 m. Ażeby więc osiedlić na wschodzie znaczniejszą liczbę rodzin niemieckich, rząd pruski musiałby wydać sumę kilkakrotnie przenoszącą miliardy, otrzymane jako okup wojenny Francyi w r. 1871. O tem jednakże niepodobna nawet marzyć.

Dr. Stumpfe podnosi ten punkt znamienny, że prywatne banki polskie, operujące śmiesznie małymi kapitałami — w porównaniu do zasobów komisyi kolonizacyjnej — robią na parcelacyi większych posiadłości między chłopów polskich wcale niezłe interesa, kiedy mogą wypłacać zyski w wysokości 5—8%. Naturalnie, te wysokie dywidendy są osiągane dzięki wyzyskowi kolonistów polskich, ale właśnie ten fakt, że koloniści polscy dają się bankom parcelacyjnym wyzyskiwać, kiedy rząd niemiecki musi płacić wysokie premia pod najróżnorodniejszemi postaciami — właśnie ten fakt świadczy na niekorzyść całego przedsięwzięcia kolonizacyjnego Prusaków.

Według dr. Stumpfego, dla chłopa niemieckiego, posiadającego rodzinę, niezbędnym jest obszar, wynoszący co najmniej 10—25 hektarów ziemi uprawnej, kiedy chłop polski, uciuławszy drobną sumkę gdzieś w Westfalii czy Ameryce, zadawala się 3—5 hektarami. Tam więc, gdzie osiada 2—5 rodzin polskich, mogłaby żyć tylko jedna niemiecka. W ten sposób rozparcelowanie jakiegoś majątku między Polaków przyczynia się do powiększenia ludności polskiej, w danym okręgu w daleko wyższym stopniu, niż kolonizacya niemiecka do jego zniemczenia. Nie dosyć na tem. Niemiec-kolonista nie może sam podołać wszystkim pracom gospodarskim i musi wynajmować robotników i służbę — naturalnie Polaków — jako tańszych, a najczęściej jedynych kandydatów. Dr. St. dowodzi, że liczba Polaków w koloniach niemieckich wzrasta ustawicznie wskutek napływu robotników polskich. Tak np. w kolonii Biechowo w ciągu jednego roku liczba Niemców zmniejszyła się o 2, Polaków natomiast zwiększyła się o 34.

Chłop polski ma mniejsze potrzeby i wymagania od niemieckiego, ale co do umiejętności wydobywania z ziemi jak największych korzyści nie ustępuje Niemcom. Dr. Stumpfe twierdzi, że te czasy, kiedy Niemiec przewyższał Polaka kulturą rolną, od dawna należą już do przeszłości. Dziś chłop wielkopolski przyswoił sobie wiadomości rolnicze, w gospodarstwie stał się postępowym i Niemcowi nie ustępuje wcale w przedsiebiorczości.

Ciekawsze są niektóre inne ustępy broszury dr. Stumpfego. Tak np. opowiada on, w jaki sposób trwoni się pieniądze przeznaczone na kolonizacyę. Oto, ponieważ w ostatnich latach komisya kolonizacyjna nabywa dobra przeważnie od Niemców, przeto oceny wartości majątków dokonywają sąsiedzi-Niemcy. Rzecz oczywista, że sąsiad sąsiadowi chętnie wyświadczy przysługę, podając wygórowaną ocenę wartości danego majątku. Bywały też wypadki, że majątek, „po sąsiedzku“ oceniony przez taksatorów na 1,200,000 marek, komisya nabywała za okrągły milion, ażeby w parę lat potem być zmuszoną sprzedać go za 250,000 m.

Na kolonizacyę „kresów wschodnich“ państwo pruskie wydało dotychczas 450 milionów marek. Przynajmniej połowę tej sumy dr. Stumpfe uważa za „darowaną,“ stwierdzając zarazem wprost „utratę połowy kapitału zakładowego.“ Z rąk niemieckich w polskie przeszło znacznie więcej ziemi, niż naodwrót. „Jeżeli stosunki będą się rozwijały dalej w podobny sposób — powiada dr. Stumpfe — Niemcy utracą na pewno także miasta w Poznańskiem i Prusach Zachodnich.“ Zdaniem jego, domeny rządowe i fideikomisy, obmyślone przez hr. Bülowa dla podniesienia żywiołu niemieckiego, powstrzymują raczej postęp Niemczyzny, niż go przyspieszają. Wogóle obecny system kolonizacyjny nazywa on „daremnemi usiłowaniami, których złe strony dotychczas stoją na równi z niewielkim pożytkiem dla niemczyzny, a bezmyślnością byłoby zaprzeczać, że, dzięki komisyi kolonizacyjnej, zyskali Polacy setki tysięcy marek, jeżeli nie więcej, na majątkach, które po większej części nieby im nie przyniosły przy sprzedaży na licytacyi lub drogą prywatną.“

Nie należy jednak przypuszczać, że dr. Stumpfe ostatecznie zwątpił o skuteczności systemu, który krytykuje. Nie, pragnie on tylko zmian w tym systemie, które mają polepszyć położenie obecne.

Na czemże te zmiany polegają? Oto żąda on, aby grunta, nabyte przez komisyę kolonizacyjną, dzielono na mniejsze parcele, a kolonistów przyciągano w Poznańskie i do Prus Zachodnich z całych Niemiec drogą „agitacyi werbunkowej.“ Całe Niemcy należy zbudzić, poruszyć je do tłumnej agitacyi na wschód, jak niegdyś w wiekach średnich. Masy muszą rozstrzygnąć w Poznańskiem tak, jak wszędzie indziej rozstrzygają. Żywioł polski w Poznańskiem wzrósł od r. 1890 do 1900 o 10%, niemiecki, pomimo kolonizacyi, zaledwie o 2%. „Jeżeli nie potrafimy poruszyć setek tysięcy ludzi, kolonizacya kresów spełznie na niczem. Gdyby komisya kolonizacyjna od początku była dzieliła grunty na mniejsze parcele, mielibyśmy już może o 1,200 (!) kolonistów więcej, niż obecnie.

Oprócz powyższego, iście „średniowiecznego“ planu poruszenia zachodnio-niemieckiej ludności do tłumnej wędrówki na wschód, dr. Stumpfe daje prawdziwie dowcipną radę kolonistom niemieckim, ażeby nie używali robotników polskich, ale płacili bodaj trzy razy więcej niemieckim. Rada ta jest już wprost rozpaczliwą.

Wszystkie rady pomysłowego publicysty z pod żaren hakaty spotkały się z bardzo surową oceną ze strony niemieckiej. Mianowicie prof. Hans Delbrück w *Preussische Jahrbücher* wykazuje, jak fantastycznemi są rojenia dr. Stumpfego.

Prof. Delbrück dowodzi, że tłumnej wędrówki na zachód wcale nie można brać w rachubę, a to z przyczyn następujących. Przedewszystkiem ekonomiczne stanowisko drobnego posiadacza rolnego jest obecnie mniej ponętne, niż dobrze płatnego i wolnego robotnika, wskutek czego niepodobna liczyć na znaczniejszą ilość ochotników. Następnie, gdyby zacząć ową agitacyę werbunkową, rozpoczęłaby się niezwłocznie kontragitacya, gdyż prowincye zachodnie potrzebują same rąk do pracy, zarówno w przemyśle, jak na roli. W końcu rząd nie może żadną miarą dopuścić do takiej agitacyi werbunkowej, gdyż rozbudziłaby ona odrazu niebezpieczne antagonizmy polityczne, jak o tem świadczy niedawny energiczny protest hanowerskiej izby rolniczej przeciw wychwytywaniu robotników tamtejszych.

Według prof. Delbrücka, powody natury politycznej i społecznej, nie zaś niedołęstwo komisyi kolonizacyjnej, sprawiły, że wyniki jej działalności są tak marne. „W polityce polskiej zdąża się do zamierzonego celu niewłaściwymi środkami, przez co odsuwa się i udaremnia prawdziwe i zadawalające rozwiązanie sprawy marchii wschodniej. Polityka ratowania niemczyzny we wschodnich prowincyach, z taką emfazą proklamowana przez hr. Bülowa, jest tylko polityką szumnych słów, marnotrawstwa pieniędzy, bezwzględności wobec dzieci szkolnych — ale nie polityką czynów. Dowiódł tego nie kto inny, jak dr. Stumpfe, jeden znajgorliwszych popleczników tej polityki i jeden z najlepszych znawców całego dzieła kolonizacyi. Pocóż więc jeszcze kilka lat się łudzić? Im dłużej kroczyć się będzie po dotychczasowej drodze, tem większa szkoda, tem trudniejszy odwrót. Szkodę ponoszą Niemcy we wschodnich prowincyach Prus bezpośrednio, a pośrednio bardzo wielką w Rosyi, Austryi, na Węgrzech; na szwank jest wystawiona moralna powaga Niemiec wobec całego świata.“

Niemcy odkryli nowego przeciwnika niemczyzny, na ten raz już nie w polskich kołach, ale w niemieckich. Istniejące w całych Niemczech, a więc i w dzielnicach polskich, liczne i potężne stowarzyszenia zajęły się zaopatrywaniem rodzin urzędniczych we wszystkie potrzeby domowe, z pominięciem miejscowych kupców i rzemieślników. Obecnie system ten rozpowszechnia się przez zreformowane spółki Raiffeisena. Są to stowarzyszenia rolnicze, dostarczające włościanom wszelkich potrzebnych towarów, a zarazem zajmujące się zbytem produktów rolniczych. Ponieważ stowarzyszenia te są skierowane przeciwko kupcom i rzemieślnikom polskim, rząd popiera je nietylko moralnie, ale i materyalnie znacznemi sumami z funduszów antypolskich. W miarę, jak się te spółki poczęły rozwijać, położenie kupców i rzemieślników niemieckich, zwłaszcza mniejszych, poczęło się stawać dość nieznośnem i obecnie protestują już głośno przeciwko instytucyom germanizatorskim, szkodzącym przedewszystkiem samym Niemcom.

Świeżo wydano osobną broszurę, dotyczącą poznańskich pism niemieckich. Broszura ta w następujący sposób uzasadnia protest niemieckich kupców i rzemieślników: „Tertius gaudens (trzeci korzystający) to Polak w tej walce o byt niemieckiego stanu trzeciego z subwencyonowanemi

przez rzęd spółkami Raiffeisena, które dziś są znakomitym sprzymierzeńcem Polaków w walce z niemczyzną na kresach wschodnich. Niemczyzna tylko przez podtrzymywanie niemieckiego stanu trzeciego, przemysłowców i rzemieślników, ostać się może. Głos taki odezwał się już przed kilku miesiącami nawet na zebraniu „Ostmarkervereinu“ w Międzyrzeczu. Działalność tych spółek naraża na szwank cały byt niemczyzny na kresach wschodnich.“

Wogóle szowiniści niemieccy są w położeniu fatalnem. Wszelkie środki, przedsiebrane w celu tępienia żywiołu polskiego, zawodzą, a jednocześnie dają się we znaki i Niemcom. To też nuta pesymistyczna brzmi coraz głośniej we wszystkich wypowiadaniach się Niemców w sprawie polskiej.

Pismo *Deutsche Erde* podsumowało zyski i straty Niemców w Poznańskiem i Prusiech zachodnich w ciągu r. 1901. Okazuje się, że z rąk polskich w niemieckie przeszło po jednej posiadłości w Pleszewie, Ostrowie, Wrześni, Wągrówcu, Rogoźnie, Czarnkowie i 2 w Inowrocławiu, w Prusiech Zachodnich zaś jeden majątek (306 h.). Natomiast w ręce polskie przeszły od Niemców w Poznańskiem: majątek i folwark Spławie pod Wrześnią, folwark Nowe pod Wągrówcem, majątek Trąbinek (214 h.) w Śremskiem, dobra rycerskie Chudopsice pod Pniewami (749 h.), młyn Smieja pod Pleszewem, folwark Wodzisko pod Miłosławiem, „Hotel du Nord“ w Koźminie, dobra rycerskie Pietronki w powiecie Chodziewskim, folwark Waltershof w pow. Inowrocławskim (161 h.), dobra rycerskie Słabomierz w powiecie Znińskim, majątek Obielewo w pow. Szubińskim, Pokrzywnica w pow. zachodnio-poznańskim (152 h.), Sucha w pow. Bydgoskim (418 h.). W Prusiech Zachodnich: dobra rycerskie Kończyce w pow. Świeckim (529 h.), folwark Bachor w pow. Brodnickim (191 h.), majątek Igliczyzna w pow. Brodnickim, dobra rycerskie Gawłowice w pow. Grudziądzkim. Oprócz tego przeszło 20 posiadłości chłopskich.

Pośrednik.

Listy Petersburskie.

Nowe prawo o dzieciach nieślubnych. — Lombardy zbożowe. — Przemysł włościański a oświata — Lud i książka. — Religia w szkołach. — *Russkija Wied.* o stanie ekonomicznym ludu w Królestwie. — M. M. Antokolski.

Jednym z najdonioślejszych aktów prawodawczych ostatniej doby jest wydane w d. 15 czerwca r. b. nowe prawo o dzieciach nieślubnych. Zmienia ono w duchu humanitarnym te artykuły X tomu „Zbioru praw,“ na mocy których dzieci t. zw. nieprawe nosiły dotychczas na sobie ciężkie brzemię winy nie swojej, wyrzucone po za nawias praw ogólnie-obywatelskich norm życia społecznego. Prócz tego dotychczasowe prawodawstwo zaliczało do dzieci nieprawych i pozbawiało wielu praw (np. dziedziczenia) i potomstwo zrodzone ze związku małżeńskiego, który został uznany za nielegalny i nierzeczywisty. Nowe prawodawstwo, przeciwnie, bierze w opiekę tych nieszczęśliwych i nadaje im wszelkie prawa dzieci ślubnych; rodzicom zaś ich pozostawia do rozstrzygnięcia, u kogo z nich mają się wychowywać aż do dojścia do pełnoletności.

Do dzieci *nieślubnych* (nowe prawodawstwo zna tylko ten termin, odrzuciwszy dawne obelżywe miano dzieci *nieprawych*) należą: 1) wydane na świat przez kobietę niezamężną, 2) zrodzone w cudzołóztwie i 3) po śmierci męża matki lub po zerwaniu małżeństwa przez rozwód po czasie, prawem przepisanym (więcej, niż 306 dni). Ojciec takiego dziecka winien ponosić koszty jego wychowania aż do dojścia do pełnoletności, jeśli dziecię potrzebuje jego pomocy, a także utrzymywać i matkę, jeżeli trudy pielęgnowania dziecka pozbawiają ją możności zarobkowania. Za zgodą stron obu oraz zezwoleniem rady opiekuńczej zamiast peryodycznie wypłacanych alimentów ojciec może wnieść jednorazowo pewną sumę, co go wszakże nie uwalnia od obowiązku czuwania nad tem, aby procenty od tej sumy używane były na cel właściwy. Dzieci nieślubne z chwilą, gdy ich rodzice wstępują w związek małżeński, tem samem przyznają się za prawe, podczas gdy dawniej można je było adoptować, lecz akt ten najeżony był tylu trudnościami formalnemi, że rzadko starania doprowadzały do celu.

Nowa reforma prawodawcza ułatwia znacznie adoptacyę. Dawniej wolno było usynowić tylko szlachcicowi dziedzicznemu, który nie posiadał ani potomków, ani krewnych, i to przeważnie w celu przedłużenia rodu; obecnie adoptować mogą wszyscy bez różnicy stanu i płci, z wyjątkiem tych, których powołanie wymaga celibatu. Jedno jest tylko zastrzeżenie: kto posiada własne dzieci, ten nie ma prawa adoptować obcych. Usynowienie własnych dzieci nieślubnych jest jeszcze łatwiejsza.

Tak wygląda suchy szkielet prawodawczy. Przyobleczony w żywe ciało stosunków społecznych, dotyka on smutnej karty, jątrzącej się rany moralności publicznej, której odrazu uleczyć nie można; żadne zresztą prawodawstwo obowiązkom terapeuty społecznego nie sprosta. Długo jeszcze zapewne prawdziwy winowajca— ojciec — będzie używał bezkarności, a zgnębione i niewinne ofiary—matka i dziecię— będą ponosiły, prócz tortur moralnych, nędzy i upokorzenia, pogardy i urągowiska, cały ciężar winy wobec prawa. Lecz podkreślić należy z uznaniem szlachetne usiłowanie przeniesienia choć części tego ciężaru na ojca, oraz dążność do zbliżenia ku sobie rodziców dziecka nieślubnego przez wspólne staranie około jego wychowania.

Od czasu zwołania rady nadzwyczajnej ku poprawie przemysłu rolnego, sprawy włościańskie nie przestają zapełniać długich szpalt prasy miejscowej, a chłop, który, jak się wyraził jeden z organów liberalniejszego pokroju, przez dwadzieścia lat był w poniewierce, obecnie wszedł w modę. Nie o modę tu wszakże chodzi, lecz o coś, stokroć ważniejszego: widmo głodu ekonomicznego, trapiące społeczeństwo rosyjskie od lat kilkunastu, obudziło drzemiące sumienia. Jak z rogu obfitości posypały się materyały statystyczne, ekonomiczne, rolnicze, rozbiła się szkuta z projektami „poprawy“ rolnictwa. W ostatnim z listów pisaliśmy o kasach włościańskich pożyczkowo-oszczędnościowych, obecnie wyłania się wniosek, pokrewny powyższemu — lombardów zbożowych.

Chłop rosyjski w znacznej większości wypadków nie powinien właściwie wcale sprzedawać zboża, gdyż, wedle obliczeń specyalistów, roczne wytwórstwo tego produktu na gruntach włościańskich zaledwie wystarcza na potrzeby wytwórcy. Pomimo to zboże idzie na sprzedaż jesienią, po to tylko, aby na wiosnę powrócić do dawnego swego właściciela. Tłomaczy się to tem, że włościanin jesienią potrzebuje gwałtem pieniędzy na pokrycie podatków i ciężarów gruntowych, zbywa więc zboże za byle co, aby je na wiosnę, na zasiewy ze znaczną nadwyżką odkupić. A kiedy na przednówku znów brak pieniędzy, bierze się pożyczki na zboże na pniu, płacąc wysokie procenty; gospodarstwo rolne chłopa rosyjskiego przedstawia przeto obraz równowagi sztucznej, a raczej ekwilibrystyki ekonomicznej, która łatwo skończyć się może upadkiem. Ci, którzy kupują zboże od włościan i pożyczają im pieniądze, stanowią ceny dowolne, korzystają z nędzy i potrzeby sprzedawcy, nie krępując się żadnymi względami ludzkości. Kilka cyfr dostatecznie wyjaśni ich gospodarkę. Różnica między cenami zboża jesienią a wiosną wzrasta z każdym rokiem w sposób przerażający: w r. 1887/8 wynosiła na żyto 4%, na owies 16%, w r. 1890/91 już 41 i 31%. Łatwo zrozumieć, kto i komu płaci te procenty lichwiarskie.

Najwalniejszym środkiem zwalczenia tej anomalii byłoby ustanowienie lombardów zbożowych, które wydawałyby pożyczki pod zastaw zboża. W samej rzeczy od lat dziesięciu lombardy takie powstawały w różnych miejscowościach Rosyi, spełniając swoje zadanie w sposób mniej lub więcej zadawalający. Najwzorowszym typem takiego lombardu jest instytucya, założona przez ziemstwo powiatu Kresteckigo gub. Nowogrodzkiej, rodzaj lombardu-śpichlerza, dokąd włościanie jesienią przywożą zboże, otrzymując na nie pożyczkę, obarczoną drobnym procentem; na wiosnę znów zboże jest wykupywane przez wierzycieli. Racyonalna organizacya i brak formalistyki biurokratycznej spowodowały, iż lombardy te dały jak najlepsze wyniki: ku końcowi r. 1893 było ich w pow. Kresteckim do 80, które wydały pożyczek na 40,000 rb. bez mała. Na podobnych podstawach została oparta organizacya lombardów zbożowych w gub. Wiatskiej; tutaj miały one jednak jeszcze szerszą sferę działalności: wydawały pożyczki pod zastaw zboża jesienią i zaliczki na zboże na pniu na przednówku. Urządzenie wewnętrzne tych ostatnich instytucyj zdaje się najbardziej odpowiadać potrzebom życia ekonomicznego wsi rosyjskiej. Jest więc pożądane, aby zasady, przyjęte przez ziemstwa wiatskie, znalazły zastosowanie na całym obszarze Rosyi, wydając jak najświetniejsze owoce.

W związku z podniesieniem rolnictwa pozostaje sprawa przemysłu włościańskiego, który stanowi jeden z poważniejszych przedmiotów obrad Rady nadzwyczajnej. W tej sprawie nader ciekawe dane zestawił p. Worobjew w ostatnim tomie „Prac Cesarskiego wolnego Towarzystwa ekonomicznego,“ w artykule dotyczącym zależności oświaty ludu od rozlicznych czynników życia ekonomicznego. Za punkt wyjścia dla swych badań autor obrał sobie powiat Myszkiński w gubernii Jarosławskiej. Stopień oświaty jest tu względnie bardzo wysoki: wśród ogółu ludności męzkiej dochodzi do 58%, wśród młodzieży (rekrutów) do 90%. Ale różne warstwy mieszkańców są pod tym względem uposażone bardzo nierównomiernie: między biedakami $^1/_3$ rodzin nie posiada żadnego członka piśmiennego lub uczącego się, u bogaczów jest takich upośledzonych zaledwie 1,1%. Dalsze badania doprowadziły p. Worobjewa do następujących wniosków: stopień oświaty pozostaje w stosunku prostym do ilości posiadanego bydła, a także do rozmiarów należącego do rodziny gruntu, największy jednak wpływ na jej rozwój ma przemysł: rodziny, posiadające bardzo niewiele sztuk bydła i gruntu, lecz oddane przemysłowi domowemu, a bardziej jeszcze wędrownemu, wykazują stopień oświaty o wiele wyższy od najbogatszych nawet rodów, które prócz rolnictwa nie mają innego środka zarobkowania.

Postrzeżenia p. Worobjewa są zbyt drobne, dotyczą jednego tylko powiatu, ale malują dosadnie ten olbrzymi przewrót, jaki do rodziny włościańskiej wnosi oddanie się nowej gałęzi wytwórstwa, przewrót, ze wszech miar pożądany.

Skoro mowa o oświacie, nie od rzeczy będzie zapewne przytoczyć wyniki postrzeżeń p. An—skiego, zawarte w jego artykule p. t. „Lud i książka,“ w jednym z ostatnich zeszytów miesięcznika *Russkoje Bogat-*

stwo. Autor sam zajmował się gorliwie czytelnictwem ludu, wiele rzeczy ciekawych podpatrzył i zauważył. Czytanie książki religijnej — powiada p. An—ski — uważa lud za pewnego rodzaju nabożny uczynek, zasługę wobec Boga i kościoła, czyta ze skupieniem i przejęciem, choć mało rozumie. Próbował autor czytać wobec ludu wielkich poetów i beletrystów rosyjskich, ale była to praca daremna: słuchacze nie rozumieli, nawet nie starali się, nie chcieli rozumieć, nudzili się i domagali czego innego. Z Puszkina podobały się jedynie „Bajki,“ z Gogola „Wieczory na futorze pod Dikańką,“ z Lermontowa „Pieśni o kupcu Kałasznikowie,“ z Niekrasowa „General Toptygin.“ Porzuciwszy więc z bólem serca klasyków, autor zwrócił się do książeczek ludowych i tu dopiero wzbudził zajęcie i zachwyt słuchaczy. Najbardziej podobały się realistycznie odtworzone obrazy z życia włościan i robotników; lud odnajdował tam samego siebie, zdawał sobie sprawę, że jest to inna zupełnie książka „życiowa,“ nie zaś „bajka.“ Jedni szukali w tych dziełkach nauki moralnej, podniesienia i uszlachetnienia ducha, inni upatrywali wskazówek praktycznych, jak żyć i postępować, jeszcze inni zwracali główną uwagę na fabułę. Ale oczywiste było, że takie czytanie zajmuje ich najbardziej, że jest to obraz ich własnego życia, ich trosk i uciech, nędzy i wesela. Ciekawe postrzeżenia p. An—skiego mogą służyć za wskaźnik dla osób i instytucyj, zajmujących się czytelnictwem ludowem.

Wywiązał się gorący spór między organem ks. Uchtomskiego, *St. Pet. Wiedomosti*, a *Moskowskimi Wied.* p. Gringmuta. Poszło o wykłady religii w szkołach. Pierwszy z tych organów żądał, aby zastąpiono je nauką przyrodoznawstwa w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu. *St. Pet. Wied.* dowodzą, że tylko przyrodoznawstwo może doprowadzić do samowiedzy, która jest jednym z najważniejszych celów kształcenia, że ono, jak „Słowo Boże z pierwszych rąk,“ musi być zasadą religii i moralności; że świadomość wspólnego źródła wszystkich zjawisk natury — od najprościejszej reakcyi chemicznej do życia ludzkiego — wskazuje człowiekowi najwznioślejszy cel jego bytowania na ziemi: dążenie do harmonii wszechświata.

P. Gringmunt w całym szeregu artykułów zasypał swego przeciwnika argumentami, wyraził zdziwienie i oburzenie zarazem, zarzucił mu bluźnierstwo itd. Dowodził, iż religia jest jedyną zasadą moralnego wychowania.

Russkija Wied. poświęciły szereg artykułów stosunkom włościańskiej własności rolnej w Królestwie Polskiem. Wywody opierają się na danych statystycznych z r. 1891, które pouczają, że w owym czasie było w Królestwie 900,000 chłopów bezrolnych, z których tylko 20% poświęciło się przemysłowi i znajdowało pracę w fabrykach, pozostałe zaś 80% było wierne rolnictwu, pracując jako służba folwarczna, parobcy, najmici itp. Własność ziemska rozdzieliła się między ludem w następujący sposób: większych gospodarstw (wyżej 7 desiat.) było w owym czasie 200 tysięcy, średnich (od 1½—7) 320 tys. i drobnych (niżej 1½) 107 tys. Oczywiście, działki tej ostatniej kategoryi nie mogły wystarczyć na wyżywienie przeciętnej rodziny chłopskiej, co zwiększa bardzo liczbę bezrolnych i potrzebujących zarobku. Szczególniej daje się to zauważyć w gub. południowo-zachodnich, gdzie przeciętne gospodarstwo włościańskie nie przenosi 4 des., podczas gdy w północno-wschodnich dochodzi do 7 (gub. Łomżyńska i Siedlecka), a nawet i 11 (gub. Suwalska).

Nieuniknionym wynikiem tego stanu rzeczy jest coraz bardziej wzmagające się wychodźtwo, do którego przyczynia się jeszcze z jednej strony: nizka płaca najmu roboczego (od 30 do 40 kop. dziennie dla mężczyzny, 25 kop. dla kobiety, podczas gdy w wewnętrznych guberniach Cesarstwa taż sama płaca wynosi 50—80 kop. i 30 kop.), z drugiej zaś — w trudnościach, jakie napotyka włościanin, chcąc dzierżawić cudzy grunt, kiedy mu brak własnego; w Cesarstwie ilość gruntu dzierżawionego w końcu w. XIX wynosiła 34% ogółu ziemi, w Królestwie zaś zaledwie 2%. Nic więc dziwnego, że ruch wychodźczy wzrasta olbrzymio: według obliczeń konsula rosyjskiego w Bremie, p. Tomaszewskiego, w ciągu lat 1900 i 1901 przez tę przystań wyemigrowało do Ameryki przeszło 46 tysięcy poddanych rosyjskich, przeważnie z Królestwa.

Powszechny żal wzbudza śmierć utalentowanego rzeźbiarza, M. M. Antokolskiego. Zmarły pochodził z ubogiej rodziny żydowskiej w Wilnie, tu się urodził w roku 1842; w 21 roku życia przyjechał do Petersburga kształcić się w Akademii sztuk pięknych, gdzie zwrócił na siebie uwagę szeregiem dzieł oryginalnych, do których przedmioty brał z życia żydowskiego. Od r. 1871 zmienił kierunek twórczości, wykuwszy z kamienia Iwana Groźnego i Piotra I (1872); odtąd obiera za przedmiot natchnień przeszłość dziejową Rosyi. Jednocześnie otrzymuje tytuł członka Akademii, i umiera na stanowisku profesora tejże Akademii. „Antokolski urodził się w rodzinie żydowskiej — pisze *Nowoje Wremia* we wspomnieniu pośmiertnem — i całe życie pozostawał wiernym religii przodków swoich. Ale był Żydem szczerze rosyjskim, kochał Rosyę, kochał jej przeszłość, jej podania.“

H. Celiński.

Listy z Ameryki.

Nowy York, 30 lipca, 1902.

Wspomnienie z podróży po oceanie. — Wybrzeża i port Nowego Yorku. — Wylądowywanie zamożnych i niezamożnych pasażerów. — Więzienie przed wylądowaniem. — Nieznane uczucie „podziału“ pomiędzy starym a nowym kontynentem.

Irving rozpoczynając swą historyę Nowego Yorku zabawia czytelnika przez trzy długie rozdziały dziejami stworzeniem świata. Niechaj mnie będzie wolno przed rozpoczęciem szeregu korespondencyi o różnorodnych objawach życia i kultury amerykańskiej rzucić najpierw okiem na New-York, a nawet sięgnąć kilkoma wspomnieniami w podróż po oceanie.

Jak podniosłemi musiały być wrażenia pierwszych wychodźców do Ameryki, jeśli dziś po tylu latach i wiekach, gdy podróż ta stała się niemal czemś banalnem (w ostatnim roku przybyło do Stanów Zjednoczonych 500,000 osób), nikt nie dostaje się na ląd bez bardzo silnego wzruszenia. Te 6 albo 10 dni życia na pełnem morzu, wsłuchiwanie się i wpatrywanie w cichą, podniecona lub gwałtowną grę wód, w ten jasny lub ciemny i zwirem gwiazd zasiany widnokrąg, te odmienne stany ducha, pełne zadowolenia, obaw, i zachwytów wobec potęgi natury, to instyktowne zlewanie się z nią w jedną całość—wszystko pobudza do większego skupienia myśli, wywołuje i podnioślejszy nastrój duszy. A trwa to, chociaż w nieco zmienionej formie, aż do ostatnich chwil drogi. Wszystko bowiem, na co tylko złożyć się mogła przyroda i kultura zespoliło się dla podtrzymania tej podniosłości wrażenia przy wjeździe do Nowego Yorku. Najpesymistyczniej nawet uprzedzeni do piękna na gruncie amerykańskim nie mogą ukryć zadowolenia. Wybrzeża Nowego Yorku o lekkich falistych wzgórkach, zasianych willami misternej budowy, pośród cudownej roślinności i blasków morza, przywodzą na pamięć krajobrazy Szwajcaryi. A wobec tej malowniczości natury ukazuje się w całym blasku i majestacie — port nowoyorski.

Poprzedza go niezliczona ilość drobnych statków o lśniących srebrnem światłem żaglach, stanowiących niby jego straż przyboczną. We wnętrzu zaś niby w roju pszczół życie i praca, ujęte w karby mechaniczne, postępują z zegarową dokładnością i akuratnością. Szerokie i przysadziste, ciemno-bronzowe parowce, które kursują co pięć minut pomiędzy Nowym Yorkiem a Brooklynem i New-Jersey, suną od jednego brzegu do drugiego z taką szybkością, jakby przewożony towar ludzki, wynoszący często do tysiąca osób, nie przedstawiał żadnego ciężaru. Większe od pierwszych parowce spacerowe krzyżują się z nimi, rozwożąc, przy dźwiękach hucznej muzyki po parę tysięcy wycieczkowiczów do najrozmaitszych punktów wybrzeży Corney Island, Manchatten, Asbury Park,—najbardziej uczęszczanych podmiejskich kąpieli morskich. W głębi zaś portu, u stóp miasta, w olbrzymich „Harborach,“ spoczywają pasażerskie i handlowe parowce wszechświatowych linij: a więc amerykańskie, indyjskie, angielskie, francuskie itp. Obok nich zaś kołują lekkie i drobne statki „pilotów,“ przeprowadzających każdy większy okręt z pełni morza w głąb portu. Uczynić to mogą ci tylko, co żyję nieustannie wśród gwaru i ruchu wielkiej przystani i znają wszystkie motory tego ruchu. Amerykanin bowiem, udając się na wycieczkę, do której z bliskich kąpieli morskich, gdzie czekają go setkich różnych uciech w postaci karuzeli, młynów dyabelskich, kolei indyjskich i cały szereg wróżbitów czytających przyszłość z kart, rąk albo pisma — nie przywykł do czekania na statek dlatego, że tam jakiś olbrzymi parowiec przywędrował z Indyi lub z Europy.

Samo miasto z portu przedstawia się niemal najwspanialej. Wysokie, dziesięcio, dwudziesto i trzydziesto-kilko piętrowe domy, stoją jak wyosobnione strażnice w różnych stronach Nowego Yorku i Brooklyna, zaznajamiając na wstępie z najwybitniejszym charakterem architektury amerykańskiej. Olbrzymi most, łączący Nowy York z Brooklynem, uderza zarówno kunsztowną swą budową, jak rozmiarami i pulsującem życiem i daje przedsmak miejskiego ruchu. A pośród tych wybrzeży portu, na jednym z najwspanialszych i najgłębiej w morze wsuniętym kawałku ziemi stoi monumentalna postać kobieca z bronzu, na wysokim piedestale, z ręką wzniesioną na 100 metrów po nad poziom morza, trzymającą pochodnię cywilizacyi. W dzień mową ruchu wita i wskazuje przybyszowi cele życia — nocą służy jako latarnia morska światłem umieszczonym w jej ręku.

Pierwsze zetknięcie z lądem poziom wrażeń dodatnich obniża niestety zbyt doraźnie z powodu, iż gościnność amerykańska niejednakowo przyjmuje, przybywających z wyładowaną złotem kiesą i tych, których do dalekiej ziemi zaprowadziła potrzeba szukania pracy. Ci, co na statku zajmowali wspaniałe cabiny, salony, bibliotekę, co korzystali z muzyki, illuminacyi itp. schodzą ze statków z dobrą miną, wśród okrzyków i powiewania gwiazdzistych chorągwi Stanów Zjed. i chustek, któremi Amerykanie witają przybyłych krewnych, przyjaciół, zanim się ich ręce skrzyżują na lądzie do serdecznych uścisków. Schody, założone w kilka minut, prowadzą do ogromnej halli, podzielonej na dwadzieścia części, z których każda oznaczona jest jedną albo dwoma literami alfabetu; każdy z przybyłych, odnalazłszy pierszą literę

swego nazwiska, staje i czeka mniej lub więcej cierpliwie, aż mu przyniosą jego pakunki. Trwa to zazwyczaj dziesięć do dwudziestu minut, wraz z rewizyą cłową i zdaniem bagaży do „baggage station,“ która odsyła je do domu według podanego adresu; poczem uradowany pasażer wsiada do dorożki albo do tramwaju (dorożka kosztuje 5 dolarów z portu do hotelu, czyli blizko 10 rubli) i puszcza się do hotelu albo „boarding-house'u.“

Biedak tymczasem, przybyły trzecią klassą, pomimo zmęczenia i tego, że mu się dusza rwie do tej nowej ziemi, skazany jest na długie przebywanie na statku i na innego rodzaju trudy i wrażenia. Najpierw poddać się musi kontroli lekarskiej, która orzeka, czy stan jego zdrowia jest taki, że można go bez szkody dla tubylców puścić na miasto. Po lekarskiej następuje kontrola cłowa i państwowa, to jest bardzo dokładne przeglądanie pasportów i. . . co najgorsze.. obliczanie zasobów pieniężnych. Jest to próba ogniowa, o której wychodźcy bardzo smutne opowiadają szczegóły. Wprawdzie suma wymagana nie jest wysoką bo wynosi nie więcej jak 25 dolarów, lecz nie do pozazdroszczenia los tego, co nie może wykazać jej posiadania. Jedno z dwojga: albo musi dowieść, że przybywa za poprzednią umową o pracę, albo, że ma na miejscu kogoś z zamożnej rodziny, kto mu da schronienie; w przeciwnym razie odsyła się go następnym statkiem do Europy. Dopóki zaś kwestya jego pobytu nie zostanie rozstrzygniętą, dostaje się po prostu... do więzienia. Zamykają go do nędznej, brudnej izby, żywią trzy razy na dzień zupą z kawałkiem mięsa i chleba, z których ilości szydzi jakość. Biedny winowajca znajduje zazwyczaj wybawcę w osobie krewnego lub przyjaciela, ale opuszczając po kilku dniach pierwsze amerykańskie schronisko, spostrzega z żalem, że mu sparaliżowano to, z czem się wybrał za morze, tj. dobrą fantazyę do szukania pracy. Zbyt szybko odczuł owo nieznane mieszkańcom kontynentu uczucie przedziału pomiędzy Ameryką a Europą. Nie jest to owa zwykła nostalgia, jaka się wytwarza po dłuższym pobycie za granicą, lecz więcej skomplikowane uczucie, które się budzi niemal dotraźnie po przebyciu morza, a na które się składają: przestrzeń wymagająca długiego czasu i nakładu na jej przepłynięcie, niemożność szybkiego porozumiewania się ze swoimi itp. Uczucie to odtąd, jakakolwiek będzie dola wychodźcy, mieszać się nie przestanie do wszystkich jego silniejszych wrażeń. Jest w tem coś pokrewnego z trawiącem pracę myślową pragnieniem odnalezienia pomostów pomiędzy ciałem a duszą, materyą a duchem. Wychodźca, jak ów filozof, powraca myślą do tego niezniszczalnego „przedziału,“ łaknąc spójni i łączności tam, gdzie jej natura odmawia systematycznie.

A. W.

SPRAWA MIESZKANIOWA.

IV.

W tych dniach obradował w Berlinie kongres właścicieli domów i gruntów miejskich. Zapadł szereg uchwał o myśli przewodniej „Nie dajmy się.“ Między innymi oświadczono, iż „tak zwana“ kwestya mieszkaniowa jest „modną chorobą“ naszych czasów, która przeminie jak sen nocy letniej. Komorne nietylko nie jest za wysokie, jak utrzymują oszczercy przewrotowi, ale przeciwnie za nizkie. Gdyby lud mniej pił a więcej pracował, to z pewnością przestałby się skarżyć bezmyślnie na wrzekomą drożyznę mieszkań. Dalej wyrażono oburzenie, iż na ostatnim międzynarodowym kongresie mieszkaniowym w Düsseldorfie ministrowie i wysocy urzędnicy, sprzeniewierzywszy się swemu zachowawczemu powołaniu, bratali się z „panami w czerwonych krawatach.“ Wreszcie zażądano natychmiastowej dymisyi ministra Posadowsky'ego ponieważ miał odwagę wyrazić się w sejmie Rzeszy, że kwestyę mieszkaniową można będzie rozwiązać tylko z upaństwowieniem gruntu miejskiego. Podobnie jak wilk nie może być pasterzem stada, tak mąż o tak rewolucyjnych poglądach nie może być filarem gmachu państwowego. Jednem słowem, wypowiedziano walkę nieubłaganą reformom, dążącym do naprawy współczesnych stosunkach mieszkaniowych. Po pogróżkach zaś i przygotowaniach wojennych musi wybuchnąć wojna krzyżowa przeciwko niewiernym. Należy pamiętać, że właściciele domów i gruntów miejskich stanowią wszędzie zwartą, spojoną egoizmem kastę. Prawodawstwo europejskie, wychodząc z dziwnego założenia, że właściciele domów są najbardziej zainteresowani w dobrobycie miasta, nadało tej klasie uprzywilejowane, bierne prawo wyborcze. Wskutek tego połowę składu przeciętnej rady miejskiej stanowią kamienicznicy. Członkowie tych korporacyj zakupywali wszelkie niezabudowane place, bądź dla siebie, bądź dla swych krewnych, a o jakichkolwiek reformach mieszkaniowych słyszeć nie chcieli. Trzeba wziąć tylko do ręki źródłową pracę Sinzheimera (dotychczas wyszedł tylko pierwszy tom) poświęconą gospodarce londyńskiej rady hrabiowskiej, ażeby zrozumieć jak olbrzymi wpływ wywiera skład rady mieskiej na politykę mieszkaniową. Gdy ojców miasta nad Tamizą dochodziły wieści o przepełnieniu mieszkań w dzielnicy robotniczej, odpowiadali zupełnie spokojnie z zimną krwią i uśmiechem na ustach, że podczas karnawału mieszkania fabrykantów w dzielnicy Westend są również w sposób niemożliwy przepełnione. Urzędników sanitarnych, którzy mieli odwagę wspomnieć o nędzy mieszkaniowej, odprawiono natychmiast z kwitkiem. Dzieła źródłowe Voigta i Eberstadta o wyzysku mieszkaniowym i frymarce gruntowej Berlina, a Sinzheimera i barona Oppenheimera o stosunkach londyńskich i angielskich uwieńczyły nikczemny egoizm klasy mieszczańskiej na polu polityki mieszkaniowej i dały nam dokładny obraz niedołęztwa szacherek haniebnych, od jakich roją się dzieje gminne wielkich miast europejskich. Dopiero od czasu wtargnięcia warstw pracujących do rad miejskich datuje się era reform i prądów humanitarnych w tej sferze. W Niemczech od kilku lat pracownicy biorą szturmem jedną radę miejską za drugą, a partya radykalna opracowała obszerny program społecznej praktyki gminnej (w sprawie tej wychodzi nowe pismo specyalne p. t. *Kommunale Praxis*). Idzie tu nietylko o komunalizacyę rozmaitych urządzeń miejskich jako to: kanalizacya, oświetlenie, komunikacya itd., nietylko o przejęcie się miasta jako pracodawcy duchem humanitarnym, o ukształtowanie w duchu ludowym i społecznym instytucyj miejskich w rodzaju szkół, czytelni, teatrów, kąpieli, wykazów pracy itd., ale w pierwszym rzędzie o politykę mieszkaniową opartą na zdrowych podstawach społecznych.

W kwestyi tej państwo może dać ogólne wskazówki i przepisy, ale w roli właściwego wykonawcy reformy, mogą wystąpić tylko miasta. Każde z nich bowiem stanowi odrębny obszar i posiada własne warunki topograficzne. W dodatku miasta rozporządzają w pewnym zakresie poważnemi prawami autonomicznemi tak, iż wbrew ich woli, a raczej zgodzie reprezentujących je rad miejskich i magistratów, nie da się przeprowadzić żadna reforma mieszkaniowa w wielkim stylu.

A reforma ta, o ile nie ma chybiać swego doniosłego celu odrodzenia ludzkości i stworzenia warunków dla jej zdrowego i normalnego rozwoju, musi być radykalną. Tylko wtedy, rosnący z każdym rokiem wyzysk lokatora stanie się niemożliwym, gdy grunt mieszkalny przejdzie do gmin miejskich, które wezmą w swe ręce sprawę urządzania i organizowania schronisk dla swych mieszkańców podług metody racyonalnej i planowej. Widzieliśmy, iż terytoryum miejskie dlatego nie wystarcza dla potrzeb ludności, iż większość warstw ubogich ze względów zarobkowych jest przykuta do gleby w określonym punkcie. Odmienne rozmieszczenie instytucyj handlowo-przemysłowych może łatwo zaradzić złemu. Widzieliśmy dalej, iż kamienicznicy rozmyślnie nie budują małych mieszkań dla własnego miłego spokoju, a niekiedy większej intratności. Z chwilą gdy budowanie domów przestaje być gescheftem, gdy staje się funkcyą społeczną miasta, może być dokonywanem na mocy określonego programu i systemu. Chaotyczność i anarchia indywidualnej gospodarki tracą grunt pod nogami. Co prawda, miasta już istniejące, zbudowane bezładnie, na chybił trafił, w pośpiechu geszefciarskim, trudniej mogą się zdobyć na radykalną reformę pod tym względem, niż miasta młode lub nowe, z góry urządzane podług nakazów społecznej polityki komunalnej. Doskonały przykład tego rodzaju przedstawiają t. zw. miasta ogrodowe, propagowane od lat kilku w Anglii. Idea ich powstałe nie odrazu. Anglia była pierwszym krajem europejskim, który poddał gruntownej krytyce wyzysk monopolu gruntowego i usiłował osłabić jego samowolę. Przez długi czas wierzono tu'święcie, że decentralizacya mieszkań, przesiedlenie się ludności do przedmieść stworzy nową epokę. Rzeczywistość zawiodła srodze te nadzieje. Po upływie krótkiego czasu ceny mieszkań w środku miasta i jego przedmieściach wyrównały się, dzięki gorliwej działalności zwłaszcza handlarzy i właścicieli gruntów. Stopniowo zatem musiał narodzić się pomysł wybawienia lokatorów z jarzma renty gruntowej, i wyrwania ich z piekła wielkomiejskiej drogą ostatecznego wysiedlenia ich na wieś. Ponieważ, jak widzieliśmy, robotnik mieszka w pobliżu zakładu, w którym pracuje, to łatwo dokonać tego przewrotu, przenosząc fabryki na wieś. Tego rodzaju projekt w wielkim stylu opracował znany ekonamista angielski Marshall w 1883 r. Wykazał on, iż cały szereg zakładów, a w pierwszym rzędzie warsztaty konfekcyjne z własną szkołą trzymają się uporczywie miasta. Jakkolwiek pomysł Marshalla w proponowanej przez autora formie nie uległ urzeczywistnieniu, to wywarł jednak silne wrażenie. Zrozumiano, jak bezmyślnem jest urządzenie np. fabryki konserwów w środku miasta. Jednocześnie wielkie zakłady angielskie, amerykańskie i niemieckie stopniowo zaczęły uciekać na wieś. Przy dobrej woli kierowników i odrobinie zmysłu społecznego powstawały wielkie, urocze kolonie przemysłowe w sąsiedztwie pól, lasów i parków. Titus Salt jeden z pierwszych zbudował pod Bradfordem tego rodzaju wzorowe miasto robocze podług „ostatniego słowa“ nauki i praktyki społecznej. Wkrótce przybyły idylliczne Sunlight Port pod zakopconym i zadymionym Liverpoolem, Pullman City pod Chicago i wreszcie miasto „Kronenberg“ założone przez Kruppa. Jednocześnie zaczęto w najodleglejszych zakątkach prowincyi korzystać z amerykańskiego wynalazku, który umożliwiał nabycie nowych części składowych maszyn jedynie na zasadzie numeru. To wszystko natchnęło Ebenezera Howarda w 1898 r. do utopii „miast ogrodowych.“ „Jutrzenka czyli droga pokojowa rzeczywistej reformy“ — tak brzmiał ty-

tul pracy, obwieszczającej światu nową ideę, której zasady kardynalne polegały na zakładaniu miast podług z góry powziętego planu, oraz komunalizacyi gruntu miejskiego. $^5/_6$ grodu reformowanego nosi charakter rolny, a pozostałą część stanowi właściwe miasto. We środku znajdują się budynki publiczne jako to: ratusz, biblioteka, teatr, szpital, muzeum itd., na końcu miasta zaś, w blizkości dzielnicy rolnej: fabryki i dworce kolejowe. Miasto ogrodowe, tonące w sieci parków, ogrodów i skwerów zbudowane we wszystkich szczegółach podług wskazówek nauk społecznych, hygieny i technologii i zaopatrzone we wszystkie zdobycze cywilizacyjne, powinno dać schronienie tylko 30 tys. mieszkańców. A że fantazya i serce w swych popędach nie znają ani hamulców, ani granic, to angielski marzyciel, nie czekając długo, przebudował na papierze całą Anglię. Według niego mieszkańcy pierwszych kilku miast ogrodowych będą pędzili tak szczęśliwy i przyjemny żywot, iż obywatele starych miast przez zazdrość opuszczą swe siedziby i zaczną gorączkowo budować wszędzie ogniska życia podług nowej modły. Wprawdzie cena zakupywanych hurtownie gruntów wiejskich na razie podskoczy, ale po za tem renta musi zniknąć wobec kolektywistycznej gospodarki komunalnej. Plan Howarda rozbudził wielkie nadzieje i zapał, powstało towarzystwo filantropijne dla zakładania „miast ogrodowych“ ale o ile nam wiadomo londyńczycy nie porzucili jeszcze dotychczas stolicy dla jakiegokolwiek miasta ogrodowego. W każdym razie plan Howarda zasługuje na uwagę jako program i cel wytyczny do którego urzeczywistnienia powinna zmierzać polityka gminna miast europejskich.‘ Krok za krokiem należy dążyć do komunalizacyi gruntu miejskiego, oraz możliwie racyonalnego rozkładu ulic, gmachów i mieszkań.

W pierwszym rzędzie, miasta nie powinny na przyszłość wypuszczać z rąk swych ani jednej piędzi ziemi, lecz przeciwnie przy każdej nadarzającej się sposobności powiększać i zaokrąglać swą posiadłość. Wszystkie miasta europejskie szafowały nieoględnie gruntami, pozbywając się ich za bezcen w razie braku środków pieniężnych. Praktyka ta musi odtąd ustać. W Niemczech Frankfurt nad Menem pierwszy zobowiązał się prawnie do nietykalności domen miejskich. Najgorzej handlował ziemią Berlin, gdyż zaledwie 8% obszaru miejskiego zachował w swem posiadaniu.

W miarę gdy wzrost ludności wymaga dalszego zabudowania terytoryum miejskiego, miasto powinno odstępować swe grunta, ale tylko w dzierżawę. Nabywca i jego spadkobiercy zatrzymują grunt na własność przez pewien okres czasu, po upływie zaś tego terminu grunt wraz z gmachem przechodzi do miasta. W ten sposób posiada on zawsze część gruntu w rezerwie, przyczem czynsz spłacany przez dzierżawców zwraca społeczeństwu część daniny, pobieranej zeń przez właścicieli gruntów i domów. Miasto dalej może regulować handel placami i zabudowanie terytoryum. Politykę tę stosują od niedawna w Niemczech Halla, Lipsk i Frankfurt nad Menem. Że i w tych warunkach renta będzie rosła i wzbogacała w pewnej części osoby prywatne, nie ulega wątpliwości.

To też niektóre miasta postąpiły jeszcze o krok dalej i sprzedają swe grunta tylko w ten sposób, iż uwzględniają przedewszystkiem interesy lokatorów. Miasto Mannheim np., które zachowało na własność trzecią część obszaru miejskiego, odstępuje grunta z zasady filantropijnym towarzystwom budowlanym, o ile zobowiążą się wznosić domy tylko z małemi mieszkaniami, a w dodatku przedstawią zarządowi komunalnemu plany do zatwierdzenia. Prywatne osoby mogą na nieco odmiennych warunkach również nabywać place, gdy poddadzą się zobowiązaniom, uwzględniającym plany budowlane. W ten sposób łatwo wyrównywa się podaż i popyt w dziedzinie mieszkań, gdyż kamienicznicy nie mogą odtąd budować domów, według własnego widzimi się, lecz muszą stosować się do zapotrzebowania na lokale mniejszego kalibru. Obfitość zbytkownych lub rozleglejszych mieszkań obok rzadkości mniejszych musi w tych warunkach ustać.

H. Forszteter.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Jak zwykle.

Znowu się cieszą! Dziwny naród — ten gazeciarski! Posmaruj go olejkiem różanym — kontent, posmaruj go krotonowym — również kontent. Kiedy dwaj polscy magnaci nabyli kolejki podmiejskie, prasa klaskała w ręce; teraz znowu, kiedy ci panowie odstąpili je spółce angielskiej, ona znowu jest zadowolona. A dla usprawiedliwienia tej swojej radości używa najrozmaitszych eufemizmów; hr. Zamojski i ks. Lubomirski „porozumieli się“ z firmą Pearson et Comp, „odstąpili jej część akcyj,“ Pearson „obejmuje administracyę,“ sprawa „weszła na nowe tory“ itp. Oj, weszła na nowe tory, na te same, po których u nas kursują wszystkie większe interesy, poruszane parą kapitałów zagranicznych. Rzecz naturalna, że i w obecnym wypadku upomniało się o swe prawa zwykłe nasze niedołęztwo gospodarcze. Pp. Zamojski i Lubomirski— to nie biedny Hus, który musiał zbankrutować na kolejkach, bo nie był w stanie pokryć niedoboru z kilkunastu tysięcy rubli; to są posiadacze milionowych i krociowych dochodów, oni nie mogli znaleźć się w kłopocie. Właściwie zatem wiadomość o dokonanej sprzedaży powinna tak brzmieć: Ponieważ kolejki podjazdowe sprzykrzyły się hr. Z. i ks. L., a ich administracya nie umiała dobrze gospodarzyć, więc ci panowie sprzedali cały kram Anglikom, którzy zaprowadzą porządek i będą mieli zyski.“

Znowu ktoś zaprowadzi u nas porządek.

Wystawa teatralna.

Wątpimy, czy jakakolwiek wystawa mogłaby mieć u nas większe powodzenie, niż teatralna. Sześćdziesiąt na sto mieszkańców Warszawy „przepada“ za teatrem, prasa zajmuje się nim ciągle, nawet podczas letniego wypoczynku pióra reklamowe nie odpoczywają w sławieniu reżysera, „premiery“ uważamy za wielkie wypadki historyi, świat aktorski stanowi najwyższy krąg w sferze naszego nieba — i wystawa teatralna miałaby się nie udać? Tylko czytajcie zapowiedzi: artyści A., B., C. itd. ofiarują na nią „*wszystkie* swoje fotografie,“ artystki X., Y., Z. itd. „ofiarują *wszystkie* swoje fotografie“ (a wiadomo, ile razy w życiu ci nasi ulubieńcy się fotografują). Z tych tylko okazów możnaby złożyć zbiór, któregoby nie pomieściła największa sala w Warszawie. A jeśli do tego autorowie dodadzą rękopisy swoich utworów, krytycy swoje sprawozdania, baletnice swoje pamiątki od wielbicieli — strach, co to będzie za ogrom!

Campanilla a Łysa Góra.

Nie przebrzmiały jeszcze płaczliwe jeremiady, któremi prasa warszawska wybuchła na wieść o runięciu Campanilli weneckiej, jakby już dla społeczeństwa naszego po tej katastrofie nie było zbawienia. Ale, jak zwykle, „cudze chwalicie, swego nie znacie.“ Zapomnieliśmy, że mamy tuż pod ręką pamiątki, o które winniśmy dbać stokroć więcej, niż o cuda zamorskie. Jedno z pism prowincyonalnych przypomniało w samą porę, że mamy w kraju całe setki ruin, zabytków, pamiątek historycznych cennych i drogich, któremi winniśmy się opiekować. A opieka ta tem potrzebniejsza, że wiele z pomiędzy nich chyli się ku upadkowi. Między innemi grozi zawaleniem słynny klasztor Benedyktynów na Łysej Górze, jeden z najdawniejszych i najdrogocenniejszych zabytków historycznych. U stóp Łysej Góry, jak wiadomo, stoi figura kamienna w postawie klęczącej, a lud okoliczny wysnuł podanie, iż skoro ów skamieniały grzesznik doczołga się do wierzchołka, nastąpi koniec świata. Czy nie należałoby podania tego zmienić w następujący sposób: z chwilą, kiedy owa postać stanie na szczycie, skruszy się nasza obojętność ku rzeczom, które powinny nas najżywiej zajmować?

Nowe stowarzyszenie.

W Łodzi zawiązało się nowe stowarzyszenie, złożone wyłącznie z majstrów i robotników tkackich. Nowa ta instytucya p. n. „Zgoda“ ma za cel zaopatrywanie stowarzyszonych w towary łokciowe, norymberskie i galanteryjne, bez uciekania się do pośrednictwa handlarzy, którzy za swe usługi kazali sobie płacić sute naddatki. Jeden udział stowarzyszenia „Zgoda“ wynosi 50 rb. oraz 3 rb. tytułem wpisowego; nabycie jednego (a nie można nabywać ich więcej nad 4) daje prawo do korzystania z kredytu w sklepie stowarzyszenia do wysokości wkładu każdego z członków.

Tymczasem ilość stowarzyszonych jest bardzo skromna (zaledwie 23); mamy jednak nadzieję, iż tak rozumnie obmyślana instytucya rozwinie się w przyszłości i wyda jak najlepsze owoce. Bo też to jest jedyny oręż w walce ekonomicznej przeciw wyzyskowi i lichwie „pośredników.“

Bolączka.

P. Ad. Mahrburg w ostatnim zeszycie *Książki* poruszył sprawę, tylokrotnie już na wszystkie strony odwracaną i przekładaną, a mimo to zawsze świeżą i zawsze bolącą. Chodzi tu o skażenie języka, do którego dzielnie przyczynia się nasze dziennikarstwo, płodząc coraz okropniejsze dziwolągi filologiczne. Czystość językowa stała się już teraz ideałem niedoścignionym, rzadkim feniksem, wyradzającym się okazem zoologicznym. Wszyscy zaś oddychamy atmosferą zepsucia i skażenia. P. Mahrburg słuszną zupełnie czyni uwagę, że dziennikarze nie mogą się tłomaczyć brakiem czasu, szybkością pracy, nawałem zajęć itp.; czem szybciej i czem częściej spełnia się jakaś czynność, tem automatyczniej, tem dokładniej winna się wykonywać; niema tu więc miejsca na żadne usprawiedliwienie.

P. Mahrburg proponuje, aby *Poradnik językowy* umieszczał stale sprawozdania strony językowej nowych książek i pism. Ale to tylko środek tymczasowy. Robimy błędy i będziemy je robili, dopóki kultura literacka tak wysoko nie stanie, iż każdy błąd językowy będzie palił, jak policzek, tego, kto go się dopuścił. *g.*

Kłamliwe cyfry.

Bodaj to mieć przyjaciół między reporterami! Chociażeś wilkiem, oni gotowi cię odmalować jak najłagodniejszego baranka, i wszyscy uwierzą w twoją niewinność; chodzi tylko o pozyskanie przychylności „panów redaktorów.“ Oni umieją wytoczyć całą baterye cyfr, urzędownie stwierdzoć

nych, by dowieść, że hyena jest zwierzęciem trawożernem. Oto drobny przykład. Niedawno pisma nasze ogłosiły z tryumfem budżet Filharmonii za sezon zimowy 1901/2, z którego widać, jak na dłoni, że dochody tej instytucyi przyćmiewają niemal zarobki miliarderów amerykańskich; wydrukowany obecnie budżet teatrów warszawskich od 1 stycznia r. b. stawia również w nader pochlebnem świetle działalność ich kierownika.

Ale nikt nie spostrzegł się, że te cyfry, aczkolwiek najwiarogodniejsze, bezczelnie kłamią. Kłamią, bo ukazują tylko jedną stronę obrazu — dochody, a milczą o rozchodach. I konia z rzędem temu, kto odgadnie z nich, czy Filharmonia i teatry warszawskie w samej rzeczy dają dochód, czy też przynoszą straty.

I pocóż to obałamucanie czytelnika?

Tak to u nas paczy się i wyłamuje gwoli prywacie najsłuszniejsza zasada jawności gospodarki instytucyj publicznych. *h.*

BADANIA NAUKOWE.

Psychologia ekonomiczna.

G. Tarde: *Psychologie économique*, 2 tomy. Paryż, 1902

Tarde nie jest z zawodu ekonomistą, a jednak nowe dzieło jego świadczy o głębokiem, filozoficznem zrozumieniu kwestyi ekonomicznej. Zdaniem Tarde'a ekonomia polityczna jest nauką, która nie rozwijała się normalnie, albowiem nie opierała się na naturalnej swej podstawie, psychologii. „Błędem ekonomistów — powiada — było przekonanie, że dla utworzenia nauki wystarcza zajmować się stroną materyalną i zewnętrzną, pozostawiając na uboczu stronę wewnętrzną, duchową.“ Po za człowiekiem, który wytwarza, spożywa, kupuje, sprzedaje, istnieje człowiek, który pożąda i sądzi. Ekonomiści o tem zapomnieli, wyjąwszy Marxa, któremu autor nie szczędzi pochwał, jeżeli zaś przyjmowali pod uwagę psychologię, to co najwyżej osobniczą, nie zaś społeczną.

Tarde stara się odbudować ekonomię polityczną na tej nowej podstawie, psychologicznej i zarazem metafizycznej. A mianowicie: usiłuje on podprowadzić tę naukę pod swą ogólną teoryę wyrażającą się w trzech prawach: naśladownictwa czyli powtarzania, opozycyi czyli przeciwstawienia i adoptacyi czyli przystosowania. Otóż bliższe wniknięcie w rzecz pokazuje nam, iż pod tą trójcą kryje się zamaskowana tryada Heglowska tezy, antytezy i syntezy, zupełnie tak samo, jak ostatecznie wykryć ją można w tryadzie Spencerowskiej zastosowania, różnicowania, całkowania. Dziwna rzecz, jak mało myśl ludzka postępuje w poglądach swych ogólnych na wszechświat!

Tryada aleksandryjska pod najrozmaitszą odzieżą błąka się po filozofii, odkrywamy ją w oryginalnych niby to utworach najmodniejszych myślicieli.

Tryadę tę Tarde zastosowuje do psychologii społecznej w swych dziełach: naprzód w „Prawach naśladownictwa,“ następnie w „Logice społecznej“ i w „Opozycyi powszechnej,“ wreszcie w „Psychologii ekonomicznej.“ Na każdym kroku stara się wykazać obecność powszechną powyższej tryady. W świecie fizycznym powtarzanie nazywa się *falowaniem*, przeciwstawienie — *uderzeniem*, zastosowanie — *kombinacyą*. W świecie biologicznym tryadę ową stanowi *poród, mord* i *zapładnianie*. W świecie społecznym wreszcie — *naśladownictwo, wojna* i *wynalazek*.

Autor nie sympatyzuje z dotychczasową ekonomią polityczną: zarzuca jej, że zbyt przecenia swe znaczenie, że zatrzymała się u progu właściwych pobudek działalności ludzkiej, pozostała w odosobnieniu od innych nauk społecznych. Odpowiednio do poglądów powyższych Tarde dzieli ekonomię polityczną nie na zwykłe i powszechnie przyjęte jej części: wytwarzania, obiegu, spożycia i podziału, lecz na powtarzanie ekonomiczne (Księga I), przeciwstawieństwo (Księga II) i zastosowanie (Księga III). Te trzy księgi poprzedza część wstępna, gdzie autor krytykuje inne systemy ekonomiczne i wykłada zasady psychologii społecznej, czyli, jak ją nazywa, „inter-psychologii.“

Czemu zawdzięczamy bogactwo? Pożądaniom, potrzebom, wierzeniom i pracom, które się powtarzają. Wszystko to wymaga miary, którą jest pieniądz.

Autor powołuje się na wolność psychologiczną człowieka, zwraca uwagę na prądy mody, namiętności i kaprysy, które rozpowszechniają się drogą inter-psychologii, wytwarzając pożądania i wpływając potężnie na wymianę i wartość. Co się tyczy kapitału, który służy głównie do odtwarzania, tj. powtarzania bogactw, Tarde dzieli go na kapitał-zarodek i kapitał-ciało, przyczem tylko pierwszy jest czynny, drugi służy jedynie dla odżywiania poprzedniego. Pogląd ten jest oryginalny, inne poglądy Tarde'a na kapitał, zwłaszcza na jego obieg, zapożyczone są od Marxa! Czem jest kapitał-zarodek? Wynalazkiem. A kapitał-ciało? Środkami materyalnymi, których używa wynalazca, by wynalazek swój wprowadzić w życie. O wynalazkach mamy w dziele tem przepyszne stronice.

Autor nie zaprzecza, że nagromadzanie kapitału-ciała objaśnia się po części, jak tego chce Marx, wyzyskiem pracy. Natomiast zwraca uwagę na to, iż nagromadzenie kapitału duchowego, wynalazków, odbywa się przez wyzysk geniusza. Jest to strona, na którą ekonomiści, niestety, żadnej dotychczas uwagi nie zwracali. „Pomyślcie — powiada Tarde (I, 348) — ile jest trudów i znużeń w życiu powikłanem geniuszów, którzy utworzyli naukę i przemysł nowożytny, a zgodzicie się, że na równi z każdym z nas, najmniejszy z proletaryuszów, jeżeli jest wyzyskiwany przez swego patrona, wyzyskuje także nieświadomie tych wielkich dobroczyńców ludzkości. To *nadpracy* nieopłaconej, a raczej *nad-boleści* źle wynagrodzonej tych ludzi zawdzięcza on, iż jest karmiony, ogrzewany, odziany, że jest bezpłatnie kształcony, leczony podczas choroby, przenoszony szybko i tanio z jednego końca świata na drugi. Geniusz może być egoistą w życiu prywatnem, ale nie jest nim, gdy wynajduje, gdy wstępując w dziedzinę abstrakcyi i analizy głębiej od swych poprzedników, kładzie rękę na tajemnice natury, które są potęgami nowemi dla ludzkości. Niechaj źródła tej ciekawości zakochanej, tej namiętności prawdy dla prawdy zostaną zatrzymane, niechaj warunki niezbędne dla wolnej działalności naukowej będą zniesione, to kapitał duchowy przestanie rosnąć, a wraz z nim i skutek jego, rozwój przemysłu.“

W rubryce „przeciwstawieństwa ekonomicznego“ znajdujemy kwestyę ceny, gdyż ustanowienie cen jest rodzajem walki, wojny drobnej, która również jak kupno-sprzedaż każe przypuszczać w duszy kupca i sprzedawcy zatarg żądz i wierzeń. Pokazuje wyjątki, jakim podlega prawo popytu i podaży, pod wpływem zwyczaju, który utrzymuje ceny, gdy one powinny były spaść, i pod wpływem mody, która je podnosi niesłychanie.

Następnie autor rozpatruje walki, odbywające się pomiędzy wytwórcami, pomiędzy wytwórcami a spożywcami i śród tych ostatnich, wreszcie kryzysy i wojny społeczne.

Autor zastosowuje do ekonomii swą teoryę naśladownictwa-mody i naśladownictwa-zwyczaju. Ten ostatni ma miejsce, gdy ludzie naśladują postępowanie swych poprzedników, uważając je za lepsze od przykładów z zewnątrz. Moda natomiast jest naśladownictwem wzorów zewnętrznych. Mody takie krystalizują się często w zwyczaje, które są już wtedy międzynarodowe, obejmują wiele ludów i do nich przyszłość należy. Ludzkość ma dążyć w ten sposób do coraz większego zjednoczenia.

W części trzeciej o *zastosowaniu* autor zajmuje się genezą wynalazków, a więc imaginacyą ekonomiczną. Rozpatruje on tu warunki fizyologiczne, psychologiczne i społeczne wynalazku, którego natura jest czysto dedukcyjna. Geniusz wynalazczy ma przechodzić w swej ewolucyi od podboju sił zwierzęcych, do roślinnych i wreszcie dopiero do fizyko-chemicznych.

W innym rozdziale Tarde zajmuje się ewolucyą własności, pokazując, w jaki sposób ona wynaleziona została, by położyć koniec walkom pierwotnym. Było to *zastosowanie* pomyślane w celu, by usunąć *opozycyę*. Przystosowanie to wydaje się autorowi tak doskonałem, iż pomimo powszechnie przyznanych, krzyczących niesprawiedliwości, nie dałby nic w niem zmienić. Innym sposobem zastosowania jest wymiana, którą zawsze wyprzedza historycznie kradzież lub dar, a to w myśl zasady autora, że jednostronność wyprzedza zawsze wzajemność. Autor przypisuje wielką wagę rekreacyom i ceremeniom religijnym, które u pierwotnych wcześniejsze są, niż wymiany i musiały je powołać do życia.

Najważniejszym wreszcie sposobem zastosowania jest assocyacya. Ona rozwijać się będzie coraz bardziej, a stąd wyniknie wzrost nieustanny dobrobytu społecznego. Odmawia on konkurencyi — obok niewątpliwych braków, których nikt zaprzeczać nie myśli — jej oczywistych zasług, jak pobudzanie wynalazczości. Ta ostatnia ma, zdaniem autora, być wyłącznie skutkiem pokoju społecznego, asocyacyi, a nie konkurencyi i wojny. Przez dziwną jednak sprzeczność sam przyznaje, że przemysł wojenny zawsze wyprzedzał przemysł istotnie produkcyjny.

Tarde odrzuca po części doktrynę, która w walce widzi źródło postępu. Zastosowanie może teoretycznie odbywać się inaczej, niż drogą walki, i faktycznie cywilizacya coraz bardziej prowadzi doń w sposób odmienny od walki — nie znaczy to jednak, by Tarde w zupełności walkę, jako środek prowadzący do asocyacyi, odrzucił. Autor przystaje na pół drogi gościńca, wiodącego do zupełnego uspołecznienia.

Tarde zresztą nie szczędzi temu ostatniemu krytyki ostrej, zwłaszcza pod względem własności wspólnej. Autor stara się wykazać, że zyski i wygody, wypływające z władania wspólnego, byłyby zniszczone przez fakt, iż własność ta stałaby się wprost municypalną, prowincyonalną, co najdalej narodową, zamiast być indywidualną, że w ten sposób renta bynajmniej by nie znikła, i owszem stałaby się tylko bardziej dolegliwą dla grup, któreby z niej wyłączone były. Przedstawia on własność prywatną, jako źródło pokoju, jako pobudkę dla wysiłków i pracy ludzkiej, gwarancyę bezpieczeństwa i jedności rodzinnej, o ile jest dostatecznie podzielona pomiędzy obywateli, i poddana racyonalnie warunkom interesu publicznego, pod firmą podatku i wywłaszczenia w celach użyteczności społecznej.

Cała ta część — dość reakcyjna — nosi charakter raczej uczuciowy, niż racyonalny. Jednem z uczuć najgłębiej zakorzenionych w autorze, jest zamiłowanie do kąta ziemi, gdzie jednostka czuje się sobą, broni się i rozwija. „Można — powiada — twierdzić słusznie, iż zasługą wielką, zasługą wybitną tej instytucyi zasadniczej jest to, iż umożliwia ona opór częsty woli indywidualnej przeciw woli społecznej, że jest fortecą, gdzie osoba ludzka się ukrywa, by odeprzeć napaści środka społecznego, który grozi jej pochłonięciem."

W przedostatnim rozdziale autor dowodzi, iż każda assocyacya jest wytworem pomysłu, wynalazku i że w przyszłości duch wynalazczy skieruje się głównie na wytworzenie nowych form społecznych. W jaki sposób przywłaszczenie prywatne ziemi może się pogodzić ze wzrostem ludności, o ile ten ostatni przyczynia się do dobrobytu ludów itp. — oto kwestye, które autor rozstrzyga w ostatnim rozdziale swego dzieła, krytykując teoryę Malthusa i doktryny, które z jej powodu wytworzone zostały. Pokazuje on, iż należy stawać na punktach widzenia najróżnorodniejszych, by dostrzedz prawdę w tej powikłanej sprawie zaludnienia. Kwestya ta nie jest, zdaniem jego, zwykłą sprawą środków żywności, jak sądził Malthus. I owszem, aby ludność, rozmnażając się, znajdowała zawsze środki wyżywienia obfite, trzeba, by zdobyła naprzód zdolności niezbędne przy nowych formach wytwarzania bogactw. Następnie ludność mniej więcej ucywilizowana nie rozmnaża się nigdy w tym stopniu, w jakim by jej na to pozwalały środki żywności, którymi rozporządza. Nie wystarcza jej to, iż nie umrze z głodu. Wymogi komfortu i przezorności, które jej dany typ społeczny podsuwa, w każdej epoce, ograniczają jej rozmnażanie liczebne. Chce ona zadość uczynić nietylko swym potrzebom obecnym, coraz liczniejszym i różnorodniejszym, ale także swym potrzebom przyszłym i wreszcie potrzebom potomności, coraz lepiej przewidywanym.

W poglądach swych praktycznych na reformy społeczne Tarde jest zwolennikiem sielanki drobnomieszczańskiej, a zwłaszcza chłopskiej: drobna własność wydaje mu się ideałem, który powinien przyświecać ludzkości w jej pochodzie. Wprost nie do uwierzenia, jak umysł tak rozległy mógł zachować takie przesądy.

Co się tyczy centralizacyi własności, stwierdzonej przez ekonomistów, to Tarde uważa ją za zjawisko przypadkowe, gdyż pozbawione podstaw racyonalnych. Nietylko w rolnictwie — powiada — ale i w przemyśle koncentracya, przekraczająca pewne granice, wywołuje nadużycia, rozrzutność, niedbalstwa, które zamiast największego skutku z najmniejszym wysiłkiem dają, odwrotnie, najmniejszy skutek z największym wysiłkiem. Ogólny wniosek, do którego Tarde pod tym względem dochodzi, jest następujący: „Dla każdej epoki i dla każdej miejscowości istnieje w rolnictwie i przemyśle stopień rozmiarów, który zapewnia największą produkcyę przy najmniejszej pracy — stopień ten, nadzwyczaj rozmaity, zależy do stanu wynalazków."

Po za tem autor jest zwolennikiem jak najrychlejszych reform w duchu demokratyczno-społecznym.

Takiem jest w głównych zarysach dzieło Tarde'a. Teoretyczne jego poglądy przypominają mocno doktryny współczesnej szkoły psychologicznej ekonomistów austryackich. Związane są one z ogólną teoryą socyologiczną Tarde'a i zarazem pełne błyskotliwych zboczeń, paradoksów, szczegółów i epizodów. Z tem wszystkiem jest to jedno z najlepszych dzieł, jakiemi poszczycić się może współczesna teorya ekonomiczna.

Dr. L. Winiarski.

LITERATURA I SZTUKA.

Coignard i Bergeret,

czyli

METAMORFOZA SCEPTYKA.

(Dokończenie).

Zrozumieliśmy więc źródło pyrronizmu politycznego Anatola France'a: leży ono w zawiedzionej nadziei, że zmiana form politycznych pociągnie za sobą także zmianę treści społecznej, która jest o wiele ważniejsza od formy. U innych taki zawód wywołuje namiętne filipiki, u France'a — straszniejszą może spokojną ironię, niczego nieszanujący sarkazm, który pogrąża jak zimna stal w łono ojczystych instytucyj republikańskich. W tym samym jeszcze duchu pisane są pierwsze powieści nowej seryi, „historyi współczesnej," stojącej pod znakiem profesora Bergereta. Poznajemy tam zbiurokratyzowane ciało profesorskie, dbające o awanse więcej, niż o swe posłannictwo etyczno-naukowe, rutynę urzędników administracyjnych, umiejących przetrwać każdego ministra i robiących politykę miejscową, lawirujących między stronnictwami w departamentach, zbiurokratyzowane również duchowieństwo, z którem zręcznie kokietuje republikańskie, na pozór bezwzględne ministeryum wyznań. Wszystko pisane z taką jakąś niewypowiedzianą pobłażliwą wzgardą dla istniejącego ustroju, że aż dreszcz czasem przejmuje na myśl, że pisze to i ogłasza członek Akademii francuskiej, jeden z czterdziestu urzędowych mistrzów myśli narodowej, postawionych przez toż samo państwo na piedestale. Nie wiem, czy połączenie takiego stanowiska z taką swobodą krytyki dało kiedy autorowi do myślenia nad wartością wzgardzonych form. Dość jednak, że w tej seryi powoli, stopniowo, wysuwa się na plan pierwszy przymierze rządu rzeczypospolitej z arystokracyą klerykalną; widzimy zakulisowe sceny intryg prefekta departamentu, Żyda, wychowującego córki w klasztorze katolickim, z przywódcami stronnictwa klerykalnego. Ironia autora zwraca się coraz bardziej od kwestyi braku treści odpowiedniej w formie republikańskiej ku temu czynnikowi, jakby w umyśle jego powstało skojarzenie tej sprawy z tym czynnikiem i wystąpiło przekonanie, że brak treści, to właśnie skutek działania tego czynnika. Tłomaczenie łatwe: powieści te pisane są w epoce rządów Méline'a, tak pysznie potem scharakteryzowanego pod alegoryczną postacią „Robin Mielleux," czyli jakby „słodziutkiego wyjadacza," — w epoce rozwoju całej sprawy Dreyfusa.

Sprawa ta, jak wiadomo, wyprowadziła na arenę publiczną filozofa, który sam — w osobie księdza Coignarda — uznawał się za niezdolnego do czynu wskutek refleksyi, gdyż ta na każdym kroku odsłaniałaby mu powody do zatrzymania się. Anatol France walczył w pierwszym szeregu wraz z Emilem Zolą, gdy dwaj inni akademicy, Coppée i Lemaître, stanęli hałaśliwie na czele pstrej armii przeciwnej. Pan Lucyan Bergeret jest właśnie reprezentantem owej śmietanki intelektualnej, złożonej w znacznej części z profesorów, która z taką odwagą cywilną, a zarazem prostotą i skromnem poczuciem obowiązku, wystąpiła w obronie pokrzywdzonego. Gdzie się wtedy podziało szyderstwo ze sprawiedliwości Maratów i Robespierre'ów? Nagle zamiast niego wystąpiło dumne poczucie, że Francya jest jej krajem klasycznym, „profesorem sprawiedliwości, od którego uczyła się Europa i świat cały." Wzrok, zaostrzony współczuciem dla niesprawiedliwie torturowanej jednostki, dostrzegł, że właśnie stronnicy owych starych złudzeń, które France-Coignard za najlepsze ogłaszał, owych starych zwyczajem uświęconych nadużyć, które miały być podług niego najmniej uciążliwemi, robią ostatni, dobrze obmyślany, uporczywy a podstępny wysiłek, aby zdusić rzeczpospolitę, a przynajmniej aby zawładnąć nią i rzeczywiście już zmienić ją na czczą formę bez śladu republikańskiej treści. W swej kampanii przeciw rzeczypospolitej użyli oni niejednego argumentu Coignarda, nie omieszkali wyzyskać ohydy różnych Panam, wewnętrznej sprzeczności sądów nadzwyczajnych nad spiskowcami, nawiązać rwącej się nici tradycyi Boulangerowskiej. Tylko że zamiast jowialnej twarzy księdza Coignarda, który filozofował, chodząc po ulicach Paryża i drogach różnych, niezawsze miał co do ust włożyć, choć od czasu do czasu się upił, i wyszarzaną sutannę zapinał zaledwie na parę guzików, co jeszcze nie zdążyły odpaść, ukazała się niemniej jowialna, ale mniej poczciwa twarz ojca Adeodata, kierownika kongregacyi potężnej, która pod protekcyą św. Antoniego zdążyła już zakupić pół dzielnicy stołecznego miasta, wydaje pisma agitacyjne i organizuje z za kulis wybory nacyonalistyczne. Na ten widok, wobec możności utracenia owej wzgardzonej, rzekomo pustej republikańsko-demokratycznej formy rządu, zbudziły się nagle w sceptyku uczucia przywiązania do niej, świadomość jej wartości. Bergeret sam wytyka bogactwa kongregacyj i odsłania ich plany zaborcze: widać już nie uważa tego za dywersyę, mającą zwieść cierpiący lud, lecz za czyn samoobrony republikańskiej. Nawet owa nietrwałość ministeryów republikańskich odsłania teraz drugą stronę medalu: niezależność instytucyi od osób, dzięki której lokomotywa rzeczypospolitej idzie prawidłowo, choć na niej nie widać maszynisty, jakby nią kierował jakiś maszynista-duch. Jakże inaczej zapatruje on się na spiskowców przeciw rzeczypospolitej parlamentarnej, na spadkobierców owego bulanżysty, z którym Coignard rozmawia przy szklance jako z człowiekiem dowcipnym, inteligentnym, niepożytej energii mimo późnego wieku! W pysznych swym sarkazmem pamfletach, pisanych przez Bergereta na wzór niby starych kronik, książe Orleański ukazuje się nam teraz jako pospolity Trublion — imię z greckiego przypominające *Gamelle*, czyli miskę, z której młody pretendent chciał niby jeść wraz z żołnierzami, zgłaszając się — wbrew prawu — do służby wojskowej, i która dała mu przezwisko. Déroulède, ta hałaśliwa a pusta głowa, otrzymał nazwę jeszcze lepszą: *Tintinnabule*, a stronnicy ich — to zastęp Jaśków Kogutów, czyli awanturniczych arystokracików, uprawiających spiskowanie monarchistyczne, miłostki z cudzemi żonami i sport bokserski *), oraz Jaśków Baranów, czyli czeladników rzeźniczych, gotowych rznąć Żyda i masona. I tu mamy aluzyę do nadzwyczajnego sądu senatu, zwołanego przeciw spiskowcom, a nawet krytykę tego sądu: France-Bergeret pozostał pod tym względem uczuciowo wiernym Coignardowi, który „nie gustował we wszelkich Katylinaryach, z którejkolwiek pochodziły strony." Lecz nawet na tym tak przykrym punkcie — jakaż zmiana! Nie słyszymy już o tem, że senat nie miał prawa sądzić spiskowców przeciw rzeczypospolitej, lecz tylko, że należało mieć odwagę sądzić wła-

*) Anatole France nie znał, niestety, sławnej dziś przez swą walkę atletyczną w trykotach młodzieży wileńskiej. Wielka to strata dla literatury wszechświatowej.

ściwych winnych — generałów, a jeśli się tej odwagi nie miało, to lepiej było dać wogóle pokój... I kiedy Bergeret mówi o tem, że w rzeczypospolitej francuskiej tak mało jest republikanów z uczucia, których było tak wielu, kiedy forma rządu była przeciwna, co stąd pochodzi, że ludzie zwykle nie kochają tego, co mają, bo zresztą żadna rzeczywistość nie bywa nigdy bardzo zachwycająca i trzeba wiele rozsądku na to, żeby jej przyznać wartość — to czuć w tych słowach coś zupełnie odmiennego od ironicznej wzgardy lumpenproletaryusza Coignarda dla wszelkiej rzeczywistości społecznej bez różnicy — czuć pewien żal, że republikanie nie umieją zrozumieć i ocenić *względnej wyższości* nawet takiej rzeczypospolitej, jaką dotychczas posiąść zdołali!

W sceptyku zagrała więc żyłka obywatelska — polityczna w starogreckiem znaczeniu. Stanął w szeregu — nie bojąc się pocisków nawet z błota — do obrony republikańskiej formy, zrozumiawszy wreszcie, wbrew wszelkim pseudo-naukowym i pseudosubtelnym sofizmatom, że forma także oddziaływa na zawartość, a nie jest tylko jej powierzchownym wyrazem, że nie w każdej formie pomieścić się może upragniona zawartość. Lecz nie koniec na tem: Bergeretowie, wszyscy razem wzięci, do tej obrony byliby bezwarunkowo za słabi. Oprócz nich stanęli też do niej owi rozczochrani, rozgoryczeni, zębami zgrzytający Puhacze, co to piszą utopie w Bastylii i którym to zarzucał subtelny Coignard, że chcieliby wszystkich do cnoty zmusić przemocą... I oto dokonała się jeszcze większa, jeszcze rzadsza metamorfoza: Coignard, stawszy się Bergeretem, przestał się wreszcie lękać utopii Jana Puhacza, zrozumiał jej istotę i stał się jej zwolennikiem!

Jest tedy między rozmowami profesora Bergereta jedna — z córką Pauliną — którą rozkoszować się można, tyle w niej dowcipu — w służbie najczystszego ideału, tyle spokojnej pewności — w służbie najbardziej ludzkiej dobroci. France, towarzysz walk Zoli, wyraża tu — w jak odmiennej formie, to pojmie każdy, kto zna różnice tych natur — ten sam ideał, co Zola w swej „Pracy.“ France, który wogóle od niczego nie jest tak daleki, jak od wszelkiego pontyfikowania, nie śpiewa hymnu na cześć solidarności, ale przemawia za nią cicho, słodko, z uśmiechem na ustach, świadczącym, że zna wszystkie słabości przeciwnika, przekonywająco dla serca i dla rozumu. Bo bynajmniej nie wierzy jego Bergeret — jak nie wierzył i Coignard — w przyrodzoną dobroć ludzi. Nie: ludzie bardzo powoli wychodzą ze stanu przyrodzonego barbarzyństwa, z największą trudnością wprowadzając jaką taką sprawiedliwość i jaką taką dobroć. Bardzo daleki jest jeszcze czas, kiedy będą dla siebie dobrymi, względnymi, kiedy przestaną się mordować nawzajem... Ale czas ten przyjdzie, przyjdzie nowa noc 4 sierpnia, noc konieczznej, zrozumianej ofiary. A jeśli kto powołuje się na to, że jest duszą przedsiewzięcia, jego mózgiem kierowniczym, to niech mu służy przykład wielkiego Donatella, który odlawszy wraz ze swymi pomocnikami posąg z bronzu — a wszak był duszą dzieła, — gdy mu współobywatele wypłacili nagrodę za trudy, kładł pieniądze do kosza, który zawieszał na sznurze u belki pracowni, i każdy z współpracowników przychodził, sznur odwiązywał i brał z kosza według potrzeb swoich. Co jeszcze dziwniejsza: — znika przesądna, nieprzezwyciężona trwoga przed „przymusem,“ przed funkcyą ekonomiczną społeczeństwa. Paulina uważa, że państwo — to niezgrabny i niegrzeczny pan, co siedzi za okienkiem biurowem; któżby miał ochotę powierzać mu swe sprawy? Lecz ojciec tłomaczy jej, że dziś już ten nieprzyjemny pan zarządza znaczną częścią dóbr ogółu, i że zresztą przestanie on być nieprzyjemnym i niegrzecznym, kiedy się z ogółem utożsami. Wtedy nie będziemy go odczuwali, będąc sami częścią tej całości, nie będzie nam się zdawało, że jednostki poświęcone są na ołtarzu abstrakcyi. — I jeśli pan Bergeret mówi jeszcze o zepsuciu organizmu społecznego, którego organy przestały odpowiadać funkcyom właściwym, którego członki nie otrzymują ilości pokarmu odpowiedniej do ich pracy, to nie w duchu sceptycznym uogólniającym, lecz przedewszystkiem dlatego, żeby stąd wywnioskować, że zmiana musi nastąpić, że ideał jego nie jest tylko czczą utopią.

Rzecz prosta, że taka metamorfoza nie byłaby możliwa, gdyby nie była tylko rozwinięciem pierwiastków, które istniały i przedtem w naturze naszego pisarza, zagłuszone tylko przez ów zanadto rozkrzewiony, czysto intelektualny żywioł sceptycyzmu, któremu sam przeciwstawia serce i zapał, jako lotniejsze i bardziej twórcze. Już w okresie Coignardowskim znajdujemy też u niego kilka ważnych cech, które, będąc punktami wyjścia do krytyki wszelkich form państwowych, są nimi zarazem do wytworzenia sobie powyższego wzniosłego ideału, mającego wypełnić formę demokratyczną. Już ksiądz Coignard gorzko uskarża się na to, że praca nie jest szanowana tak, jak na to zasługuje, i twierdzi, że chłopi i wszelkiego rodzaju pracownicy powinni cieszyć się większą sławą i czcią, niż wojownicy, ponieważ wystawieni są — i to przez całe życie, a nie w wyjątkowych chwilach — na większe od nich cierpienia i niebezpieczeństwa. Co do wojska szczególnie, to uczony bibliotekarz biskupa w Séez chlubi się tem, że tego jednego zawodu w życiu swojem nie probował — chociaż przyznaje, że ludzie mają do niego największy pociąg, tak że człowieka możnaby określić jako „zwierzę z muszkietem...“ Ma on do wojaków niechęć przedewszystkiem za to, że zabijają, ile za to, że są przyrodzonymi nieprzyjaciółmi sztuk i nauk; to też, używając energicznego wyrażenia Błażeja Pascala, oświadcza bez ogródki, że wstręt czuje do „mord z szablami...“ Wogóle, ostatnie rozdziały *Opinii księdza Coignarda*, w których krytykuje on wszelką sprawiedliwość ludzką, przez swą głęboko smutną ironię, przez ból i współczucie, tętniące w każdem z nielicznych a trafnych słów, wznoszą się — śmiem powiedzieć — może wyżej jeszcze, niż „Odrodzenie“ wielkiego Tołstoja. A wreszcie — czynnik nie najmniej ważny — kto czytał serdeczne a ciepłe wyrzuty, które France robi w *Vie littéraire* Péladanowi za poniżenie i wyszydzenie miłości ojczyzny, ten zrozumie, że sceptyk ten, najbardziej sceptyczny ze wszystkich „zepsutych“ Francuzów, mógł dać ten pouczający, prawdziwie budujący przykład smakoszom artystyczno-literackim innych, mniej „zepsutych“ krajów: — przy pierwszej sposobności zamienić się na czynnego, ofiarnego i odważnego obywatela, broniącego dokonanych już zdobyczy od reakcyi, walczącego o urzeczywistnienie między swoimi ogólnych ideałów ludzkości *).

Dr. K. Krauz.

---

*) W poprzednim ciągu niniejszego artykułu na początku w wierszu 3, zamiast: Bonchera, powino być: „Bouchora“; str. 392, szp. 3, w. 20, zamiast: to każda, winno być: „to bardzo znaczna“; str. 393, szp. 1, w. 32 od dołu, zamiast: w sztuce, winno być: „nierzadko“; str. 393, szp. 3, w. 15, powinno być: „rządu, sąd, którego.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Pracownicy handlowi w Warszawie wystąpili do wyższej władzy miejscowej z podaniem o wprowadzenie zwyczaju zamykania sklepów o godz. 8-ej wieczorem. Skutkiem tego magistrat zwrócił się do urzędu starszych zgromadzenia kupców z żądaniem odpowiedzi na pytania: 1) czy istnieją przepisy administracyjne, normujące godziny zamykania sklepów? 2) jakie w tym względzie panują zwyczaje za granicą? 3) czy ze stanowiska handlowego i ekonomicznego pożądane jest wcześniejsze zamykanie sklepów i czy w ten sposób nie zostałaby ograniczona swoboda handlu? 4) czy słuszne są skargi subjektów i uczniów handlowych na przeciążenie pracą?

— *Prawit. Wiest.* pomieścił następujący rozkaz Najwyższy, zatwierdzający uchwałę komitetu ministrów: „Przewidziany w art. I Najwyżej zatwierdzonej d. 26 kwietnia 1893 r. uchwały komitetu ministrów o wprowadzeniu koronspondencyi w Towarzystwie Kredytowem Ziemskiem w guberniach Królestwa Polskiego wyjątek tymczasowy z przepisu ogólnego — przedłużyć do dnia 1 (14) stycznia 1905 r. wyłącznie w zakresie korenspondencyi dyrekcyj gubernialnych z zależnymi od nich taksatorami i osobami, zarządzającemi majątkami, które pozostają w rozporządzeniu Towarzystwa. Po upływie tego terminu dalsze odraczanie stosowania w Towarzystwie kred. ziem. prawa z dnia 26 kwietnia nie powinno być dozwalane.“

— Z rozkazu Najwyższego uwolniono wszystkich studentów, którzy w zamku smoleńskim odsiadywali karę za udział w rozruchach moskiewskich w lutym r. b. (*Smol. Wiest.*)

— Powiększono etat urzędników w biurach i urzędach pocztowo-telegraficznych w Królestwie Polskiem.

— *Gaz. Polska* donosi, że d. 17 b. m. odbyło się w Berlinie wielkie zebranie Polaków w celu założenia protestu przeciw polityce germanizacyjnej rządu. W zebraniu wzięli udział Polacy z Berlina, Charlottenburga i wszystkich miast okolicznych, Brandeuburga Szpandawy itd. Ogółem stawiło się około 2,000 osób. Przemawiano bardzo stanowczo przeciw systemowi germanizacyjnemu, i wyrażono niezadowolenie z niezdecydowanej postawy Koła polskiego. Ostatecznie uchwalono rezolucyę, w której założono protest przeciw germanizacyi przeprowadzanej także za pomocą pieniędzy polskich obywateli płacących podatki. Polacy muszą występować, jak najenergiczniej przeciw osobom, które sprzedają ziemię polską komisyi kolonizacyjnej. Zawezwano wszystkich do umieszczania swych oszczędności w bankach, które przeciwdziałają komisyi kolonizacyjnej.

— Z Monachium wydalono 2 techników i 2 słuchaczów uniwersytetu, poddanych rosyjskich; ze Sztutgardu — 1 słuchacza politechniki, z Karlsruhe — technika, poddanych austryackich.

— *New-York-Herold* podaje charakterystyczny obrazek cywilizacyi niemieckiej w Nowej Gwinei: W odwet za zamordowanie przez mieszkańców wyspy żony misyonarza Wolffa, wyprawa niemiecka złożona z oddziału żołnierzy wylądowała w nocy i wymordowała całą ludność wioski.

Szkoły i wychowanie. Rada państwa postanowiła, że osoby kończące kurs w niższej szkole ogrodniczej przy skarbowym ogrodzie Pomologicznym, oraz te, które nie ukończyły kursu, lecz zdały egzamin wstępny do szkoły w zakresie kursu dwuklasowych szkół wiejskich, korzystają w odbywaniu powinności wojskowej z ulgi II-ej kategoryi.

— Do politechniki warszawskiej wniesiono 735 podań o przyjęcie na studya (w tej liczbie 267 żydów). Miejsc wolnych jest tylko 229; skutkiem tego odbędą się egzaminy konkursowe d. 29 b. m.

— Pani Stanisława Morawska otrzymała pozwolenie ministeryum oświaty na otwarcie w Warszawie szkoły żeńskiej z dwuletnimi kursami języków: francuskiego, niemieckiego i łaciny. Uczennice po ukończeniu tej szkoły otrzymywać będą stopień nauczycielki z prawami udzielania lekcyj w zakładach prywatnych i rządowych.

— Zapis do szkoły rysunkowej przy Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej rozpoczął się 21 b. m. i trwać

będzie codzienie od godz. 12 do 4 w południe. Młodzież obojej płci pobierać będzie w tej szkole naukę rysunku technicznego, ręcznego, ornamentacyjnego, maszynowego, architektonicznego, oraz modelowania i malarstwa w zastosowaniu do przemysłu.

— Oberpolicmajster warszawski zwrócił się do zarządu Tow. wyścigów konnych z żądaniem, ażeby młodzieży szkolnej średnich zakładów naukowych nie dopuszczano bezwarunkowo na wyścigi. Nad wykonaniem tego rozporządzenia czuwać mają delegowani nauczyciele.

— *Ryżskij Wiest.* donosi, że w m. b. do politechniki ryskiej przyjmowani będą tylko kandydaci z kraju nadbałtyckiego według kursu patentów.

Wiadomości naukowe. Dyrekcya Akademii rolniczej w Dublanach ogłosiła konkurs na posadę asystenta przy katedrze botaniki, z płacą roczną 1,200 koron i wolnem pomieszczeniem kawalerskiem albo relutum. Ubiegający się o tę posadę winni nadesłać: 1) metrykę urodzenia, 2) krótki życiorys i 3) świadectwo ukończenia studyów akademickich oraz wykaz dotychczasowych prac naukowych lub laboratoryjnych. Termin do d. 20 września r. b.

Zdrowie publiczne. Rosyjskie Tow. farmaceutyczne opracowało memoryał, w którym żąda, ażeby handel lekarstwami i odpowiedniemi chemikaliami wyodrębnić jako oddzielną grupę i oddać w ręce osób obowiązkowo z wyższem wykształceniem farmaceutycznem; do drugiej grupy zaliczyć istniejące obecnie składy apteczne i kosmetyczno-perfumeryjne, pozbawiszy je prawa sprzedaży silniejszych środków lekarskich; do trzeciej grupy zaliczyć sklepy z chemikaliami dla sprzedaży nawet silniejszych środków do celów wyłącznie przemysłowych. Na otwarcie składów aptecznych udzielać powinna pozwolenia władza administracyjna wespół z lekarską; pozostałe rodzaje składów otwierane będą na zasadach ogólnych.

— Postanowiono wznieść obok szpitala Dzieciątka Jezus instytut szczepienia ospy ochronnej kosztem 27,000 rb.

— Do szpitala w Odesie dostawiono chorego, podejrzanego o dżumę, który wkrótce zmarł. Zabroniono wywozu z Odesy bielizny, ubrania, gałganów, starzyzny, worków, starych dywanów, skór świeżych, odpadków zwierzęcych i szerści.

— Departament medyczny opracował projekt przepisów obowiązkowego dezynfekowania teatrów, sal koncertowych, klubów i innych lokalów służących za miejsce zabaw.

Sprawy ekonomiczne. Bankowi francuskiemu pozwolono na przesyłanie z komór celnych do Banku państwa biletów kredytowych francuskich, pocztą w otwartych pakietach do wysokości 15,000 rb.

— Dnia 21 września r. b. odbędzie się w Łowiczu wystawa koni włościańskich, roboczych.

Katastrofy. Twengei nawiedzone zostało straszną powodzią, skutkiem której utonęło około tysiąca osób.

— W Alpacca, nad zatoką Kalifornijską, nagłe wtargnięcie fal morskich na ląd spowodowało wielką powódź. Zginęło kilkaset osób.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 8 Августа 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.